

publikacja
pokonferencyjna

listopad 2024 | Centrum Polskie | Czeski Cieszyn

Forum ZAOLZIE PL

ŚLĄSK CIESZYŃSKI

Kongres



Polaków w RC
Poláků v ČR

Forum Zaolzie Odczarować Zaolzie

Czeski Cieszyń 2024

FUNDACJA VOLENS

Kongres



Polaków w RC
Poláků v ČR

Forum Zaozie. Odczarować Zaolzie.

© Copyright by

Autorzy & Kongres Polaków w RC

Publikacja powstała dzięki wsparciu:



PROJEKT FINANSOWANY PRZEZ MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH
RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ W KONKURSIE „POLONIA I POLACY ZA GRANICĄ 2024 – WYDARZENIA I INICJATYWY POLONIJNE

Projekt finansowany przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej
Polskiej w konkursie „Polonia i Polacy za granicą 2024 – wydarzenia i inicjatywy
polonijne” za pośrednictwem Fundacji Volens

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana
z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Redakcja: Adam Miklasz

DTP: Marian Siedlaczek

Wydawca:

Kongres Polaków w Republice Czeskiej

Druk: Galeria 13, Cieszyn

Czeski Cieszyn 2024

ISBN 978-80-87381-41-0

Forum Zaolzie

Słowo ‘forum’ wywodzi się z języka łacińskiego i oznacza główny plan w przestrzeni urbanistycznej miast świata rzymskiego (jego greckim odpowiednikiem jest ‘agora’). Plac ten pełnił kilka funkcji – przede wszystkim handlową, administracyjną (to tam znajdowały się zazwyczaj placówki publiczne), religijną (właśnie przy forum budowano najważniejsze świątynie). Co równie istotne – miejsce to stanowiło punkt wymiany opinii i poglądów, to właśnie na forum w czas wyborów kandydaci mogli (teoretycznie) wygłaszać swoje przemówienie i snuć plany o udoskonaleniu świata.

Jest to więc nazwa jak najbardziej adekwatna do wydarzenia, które odbyło się jesienią w Czeskim Cieszynie, czyli na Zaolziu. Na świecie organizowanych jest mnóstwo przeróżnych konferencji, sympozjów, podczas których przedstawiciele konkretnej dyscypliny omawiają i debatuja w swoim gronie nad kwestiami i zjawiskami – z perspektywy tej dyscypliny – fundamentalnymi. W przypadku Forum Zaolzie idea była nieco inna, a na sztandarze inicjatorów zauważyć można było wyraźnie hasło ‘interdyscyplinarność’.

Zaolzie jest obszarem zjawiskowym, osobliwym i unikatowym. I wciąż niedostatecznie zdefiniowanym. Wbrew oczekiwaniom wielu jego mieszkańców nie zaprzęta on głowy ani naukowcom, ani zwykłym zjadaczom chleba – badań, dyskusji czy publikacji o tym arcyciekawym regionie jest wciąż niewiele, są to najczęściej publikacje o dość hermetycznym naukowo charakterze, dotyczące jedynie niewielkiego wycinka nauki. Samo wydarzenie powstało w wyniku potrzeby szerszej dyskusji i przyjrzeniu się

z różnych, czasem odmiennych perspektyw obszarowi Zaolzia. Odpowiedzeniu na nurtujące mieszkańców tego terenu fundamentalne pytania: Kim jesteśmy? Czego oczekujemy? Jak możemy zrealizować nasze potrzeby? Aby jednak znaleźć na nie odpowiedź, należy zacząć od początku. A na początku było słowo.

Słowo „Zaolzie” było szerokim tematem pierwszej edycji forum, na które zaproszono cenionych ekspertów z różnych obszarów nauki. *Historia magistra vitae est* – nie ma wątpliwości, że zdanie Cyserona należy brać na poważnie, więc swoją liczną reprezentację mieli historycy. Jest to o tyle uzasadnione, że diagnozując istotę słowa „Zaolzie” i snując wizję na temat jego przyszłości należy pochylić się w stronę przeszłości. Ona, w przypadku omawianego terminu, miała znaczenie fundamentalne.

Poniższe opracowanie zawiera transkrypcję wykładów, zaproponowanych przez ekspertów Forum Zaolzie. Wykłady te zostały przeredagowane w sposób nieinwazyjny tak, aby jak najlepiej oddać ich charakter. Zapraszamy do lektury!

Jakie dyskursywne obrazy świata służą zaolziańskim Polakom

We wstępnej, teoretycznej, ale możliwie krótkiej części mego wystąpienia sprecyzuję, w jakim znaczeniu będę używał słowa dyskurs. W drugiej, praktycznej części wytłumaczę, jakie sposoby mówienia są w interesie zaolziańskich Polaków, a jakie nie do końca.

O dyskursie chciałbym mówić w znaczeniu zwyczajowych i konwencjonalnych sposobów mówienia, które rzutują na sposoby myślenia i postrzegania świata. Dyskurs stworzony jest w tym rozumieniu przez związki znaczeniowe, które w codziennym języku, a poprzez to w świadomości, utrwalają się przez swoją powtarzalność w tych samych kontekstach. Dyskurs równoznaczny jest z systemem komunikacyjnych przyzwyczajzeń, czy też nawyków językowych, które rzutują na wiedzę potoczną jego użytkownika i to w taki sposób, że dane przyzwyczajenia, nawyki przekładają się na określony sposób postrzegania, rozumienia i odruchowego wartościowania świata. Dyskursy stwarzają dla ludzi tzw. ramy referencyjne, czyli układy odniesienia wszelkich komunikatów. W ten sposób przyzwyczajenia językowe stają się narzędziem społecznego konstruowania świata. Pojęcie dyskursu na pierwszy rzut oka mogłoby się wydać małowymierną propozycją teoretyczną, z której praktycznie nic nie wynika. Nic bardziej mylnego, jeśli zauważyć, że ludzie na planie swego życia codziennego nie myślą za pośrednictwem definicji, lecz obrazów. Taki obraz, jeśli przez słowo przywoływany jest do świadomości odpowiednio często w tych samych kontekstach, zaczyna funkcjonować jako skrót obiegowej opowieści. Każde słowo przywołuje na myśl jakiś ciąg skojarzeń w postaci obrazów. Jeden obraz przywoła na myśl inny obraz, a ten jeszcze inny. Wszystkie razem ułożą się w niewypowiedzianą opowieść. Umberto Eco pokazał to kiedyś na przykładzie słowa ryba, której skojarzeniowa otoczka jest skrótem opowieści o rybie złowionej do

sieci przez rybaka. Jednym z jej wariantów jest bajka o złotej rybce, jeśli jest wśród uczestników dyskursu powszechnie znana. Gdzie indziej socjolog Peter Berger, Tolkien, jak i Thomas Luckman mówią znowu o scenariuszu uruchamianym w świadomości przez konstrukcję „konflikt z teściową”. Jak tylko padną takie słowa, odbiorca komunikatu z góry wie, kto jest wszystkim winien i dlaczego. Na ewokowaniu podobnych scenariuszy polega właśnie władza języka nad umysłem. Padające słowa nie uruchamiają w świadomości żadnych definicji, tylko scenariusze stworzone przez różnego rodzaju opowieści. Przez plotki, pogłoski, dowcipy albo też historie kryjące się w gatunkach komunikacji medialnej. Słowa to zatem swego rodzaju etykiety, które odzwierciedlają doświadczaną rzeczywistość, a jednocześnie ją konstruują, czyli modelują, kształtują. Wynika z tego, że przez sam dobór słów można kształtować doświadczenia odbiorców naszych komunikatów. Na przykład słuchaczy, czytelników, widzów. I to jeszcze zanim zaczniemy snuć jakiegokolwiek opowieści lub kogokolwiek o czymkolwiek przekonywać. Dzieje się tak dlatego, że każde rozumiane słowo nie przywołuje do świadomości definicji, lecz obraz i wpisujący się w niego nieświadomy scenariusz, który nigdy nie jest w zupełności niewinny, bo zawsze coś implikuje. Ta sama rzeczywistość może być przez sam dobór słów, różnie interpretowana i wartościowana i to niejako z góry – zanim nadawca rozwinie jakąkolwiek argumentację. Gdyby było inaczej, w kampaniach reklamowych albo wyborczych bardziej liczyłyby się uzasadnienia i wywody, a nie enigmatyczne, wpadające w ucho hasła. Jeszcze zanim przeczytamy na opakowaniu, z czego składa się na przykład jogurt Activia, już wiadomo, że kto go spożywa, będzie pełen siły i wigoru. Na tym właśnie polega swoista magia słowa. Jeśli na pudełku z twarogiem zamieścimy napis ‘protein’, z góry będzie wiadomo, że to idealny pokarm dla sportowców i nie ma żadnego znaczenia, że białko zawarte jest w każdym twarogu, a nie tylko w tym jednym, jedynym produkcie. Oto jeszcze inny przykład. Nie jest bez znaczenia, czy ten sam produkt nazwiemy cytrynką, albo roztworem kwasu cytrynowego. Podczas gdy pierwsza nazwa skojarzy nam się ze sokiem z cytryny i z naturą, druga przywoła na myśl chemię i substancje potencjalnie trujące. Różne określenia tego samego produktu przekłada-

ją się na różne scenariusze wyobrażeniowe i różne implikowane wartości. Z dyskursywnym modelem tego produktu możemy zaznaczyć, że ten produkt jest nie tylko wyróżnianiem, ale też modelowaniem świata. Nie spotykamy się tylko w ramach marketingu, lecz we wszystkich sferach codziennego życia. Tego samego przybysza można czasem nazwać emigrantem, a czasem ekspatem. To niby częściowe synonimy, a jednak każde słowo uruchamia w naszej świadomości zupełnie inny scenariusz. Podczas gdy ekspat wyświadcza nam wielką przysługę, bo dzięki niemu jesteśmy umiędzynarodowieni i światowi, emigrant, to potencjalny sprawca kłopotów, który będzie na naszym garnuszku. To właśnie implikuje konotacyjna otoczka jednego i drugiego pojęcia.

Co to jest konotacja? To mętne zagęszczenie skojarzeń, uruchamianych przez słowo bądź inny znak na planie spontanicznych, przedrefleksyjnych doznań. Jeśli przez powtarzalność w świadomości utrwali się sąsiedztwo dwóch znaczeń, wówczas jedno, a drugie znaczenie jest jednym znaczeniem. To na zasadzie indeksu przywołuje na myśl drugie, drugie trzecie itd. W ten sposób kształtują się dyspozycje do określonego sposobu postrzegania i rozumienia rzeczy, które nazywają się *habitusami*. Dzięki konotacjom niezborne fragmenty świata, a także słowa, układają się w sensowne całości, bez konieczności określania czy tłumaczenia logicznych zależności między nimi. Znaczenia konotacyjne, nawet jeśli ich nie widać, nawet jeśli pomijamy je w definiowaniu rzeczy, tworzą podstawę spontanicznie, przedrefleksyjnie doznawanego sensu. Jak powiada francuski semiotyk Roland Barthes, konotacja organizuje świat bez sprzeczności. To kondensacja nieuprzedmiotowionej, niezwerbalizowanej wiedzy. Konotacja funkcjonuje jako odpowiedź czy sugestia, która nasuwa się, czy wręcz narzuca się odbiorcy komunikatu, zwalniając go z wysiłku dokładnego rozpatrywania każdego pojedynczego zdarzenia. Człowiek może w ten sposób łatwo łączyć postrzegane wycinki rzeczywistości w jeden świat, w jedno uniwersum symboliczne. Konotacja jest w tym sensie narzędziem językowego upraszczania świata już na poziomie spontanicznej percepcji, czyli tego, co pokazuje nam się na pierwszy rzut oka, zanim nad czymkolwiek zaczynamy się zastanawiać. Żyjemy

w świecie, w którym pierwszy rzut oka w życiu codziennym jest decydujący. Przybywa sytuacji, w których wszelka rzeczywistość sprowadza się do tego, co widać na pierwszy rzut oka. Nawet gdyby było inaczej człowiek, jak powiada Hannah Arendt i tak nie dysponuje nieograniczonym czasem i nie może pozwolić sobie na nieustanne, krytyczne rozpatrywanie całego zasobu swojej wiedzy. Gdyby tak czynił, szybko by się wyczerpał. Technologicznie uwarunkowana szybkość przekazu i nadpodaż komunikatów, które walczą o swego odbiorcę, nie stwarzają idealnych warunków do jakiegokolwiek refleksji. Tendencja do skrótu sprowadza się między innymi do zastępowania opowieści obrazami, opatrzonymi czasem krótkim słownym komentarzem, bo pokazanie zjawiska jest szybsze i efektywniejsze niż jego opisanie. Nawet komunikacja czysto werbalna opiera się w coraz większym stopniu na krótkich, chwytliwych, wrywkowych komunikatach, między innymi na jedno czy kilku zdaniowych tweetach, postach, memach, internetowych oraz ich udostępnieniach w sieciach społecznościowych. Jeszcze innym dowodem na przyspieszenie przekazu komunikatów jest tzw. rolka albo też reels, czyli krótki filmik przewijany na ekranie smartfona. Warunkiem zrozumiałości migawkowych komunikatów są powszechnie podzielane mitologie w rozumieniu swoistych gramatyk skojarzeń, dzięki którym wystarczy samo rzucanie haseł. Dzięki gramatykom skojarzeń, gdzie każde słowo implikuje swoisty, milczący scenariusz, świat jest tak naprawdę zinterpretowany, uporządkowany i oceniony już na planie formy, czyli na planie samych stosowanych środków językowych, a nie dopiero na planie dowodzonych treści. Jednostka przegrywa tu w starciu z kolektywem. Do którego wiedzy musi się zawsze dostosować, jeśli chce być rozumiana. Jej argumentacje nie mogą być na zbyt skomplikowane czy wymagające, jeśli zauważyć, że czytanie ze zrozumieniem nie należy do najmocniejszych stron współczesnego użytkownika interaktywnych nowych mediów. W zalewie informacji nie ma czasu na refleksję. Spontaniczna reakcja góruje nad oglądem krytycznym. A presja na sensację i szybkie skojarzenia góruje nad logicznie poprawnym wnioskowaniem. W walce o odbiorcę liczy się funkcja poetycka przekazu. Informacja musi bawić, zaskakiwać, dostarczać mocnych wrażeń.

Do tego dochodzi wszechwładza retoryki, która polega na tym, że retorycznie konstruowane obrazy rzeczywistości stają się ważniejsze od samej rzeczywistości. Współczesna dominacja emocji nad racjonalnym osądem może nawet jawić się jako swoiste *déjà vu*, jako powrót romantyzmu w nowej odsłonie, który był w jakimś sensie okresem idealizacji, a nawet celowych mistyfikacji, takich jak np. średniowieczne *Pieśni Ossiana*, odkryte rzekomo przez Jamesa Macphersona, czy też rękopisy *Václava Hanka*. Tak czy inaczej, do rzeczywistości, w jakiej żyjemy, pasują jak ulał znane słowa Adama Mickiewicza z ballady *Romantyczność: Czucie i wiara silniej mówią do mnie, niż mędrca szkiełko i oko*. To nieomal definicja tzw. postprawdy, czy ery postfaktycznej, tak jak za Ralfem Keyesem nazwane zostały czasy, w których żyjemy. W komunikacji społecznej prawie normą stało się odwracanie kota ogonem i innego rodzaju manipulacje, a w kształtowaniu opinii publicznych bardziej od faktów zaczęły się liczyć intensywne emocje i efemeryczne sensacje.

W tym miejscu chciałbym przejść do praktycznej części swego wystąpienia, którą chciałbym rozpocząć od konstatacji, że obrażanie się na rzeczywistość nikomu raczej nie pomoże. Wychodzę z założenia, że uczciwość i rzetelność w komunikacji nie wyklucza opanowania i stosowania strategii dyskursywnych, które są jednocześnie strategiami retorycznymi. Umiejętne posługiwanie się narzędziami językowymi w celu kreowania obrazów świata odbiorców, bynajmniej automatycznie nie pociąga za sobą nieuczciwości i nierzetelności w komunikacji. Pierwszą kwestią, nad którą chciałbym się zastanowić, są wyobrażenia i scenariusze uruchamiane przez pojęcie Śląsk Cieszyński i Księstwo Cieszyńskie, które nie są zamiennikami ani w rozumieniu historiografii, ani w rozumieniu dyskursów pamięciowych, choć z innych powodów. Wychodzę z założenia, że dyskursy pamięciowe nigdzie nie posługują się kategoriami arystotelesowskimi, gdzie o tożsamości zjawiska decydowałyby definicja określająca jego granice. Owszem, granice Śląska Cieszyńskiego były zmienne, zwłaszcza, że na jego obrzeżach powstawały i zanikały państwa stanowe. Jednak oprócz modelu kategoryzacji mamy jeszcze model tzw. kategoryzacji naturalnej, którego podstawą nie jest definicja,

lecz obraz o największym natężeniu cech danej kategorii nazywany prototypem. A zarówno Księstwo Cieszyńskie, jak i Śląsk Cieszyński przywołuje na myśl ośrodek władzy i centrum kulturowe, którym jest Cieszyn. Kategoria naturalna odznacza się tzw. układem radialnym, gdzie wszystko istotne koncentruje się w centrum, a wszystko co znajduje się na obrzeżu mniej lub bardziej jest do niego podobne. Pod tym względem nie ma znaczenia, czy jakaś gmina znajduje się wewnątrz czy na zewnątrz, bo zawsze jest do centrum pod jakimś względem podobna. Jeśli by zapytać, jakie plusy i minusy wynikają z używania jednego i drugiego pojęcia w lokalnych dyskursach pamięciowych, należałoby stwierdzić, że termin księżycza czy księstwo cieszyńskie jest doskonale odporne na zjawisko, które Walter Ong w książce „i piśmienność” nazwał *amnezją strukturalną*. Chodzi o kolektywne zapomnienie potrzebne do tego, by pamięć społeczna dostosowała się do nowych realiów. Podobnemu procesowi prawie zupełnie uległo pojęcie Śląsk Cieszyński, które po polskiej stronie oznacza przeważnie polską część terenu podzielonego w roku 1920, a po czeskiej stronie w wersji „Těšínsko” najczęściej z kolei jego czeską część. Ani literatura historiograficzna, ani na przykład historyczne mapy terenu wystawiane w gablotach Muzeum Těšínska niewiele były w stanie tu zmienić, bo odpowiedź związana z konwencją językową zawsze ma większą wagę niż jakiegokolwiek historiograficzne wyjaśnienia i tłumaczenia. W ramach konwencji językowej hasło Śląsk Cieszyński związane jest z gminami w swoim państwie, a nie w obcym państwie. Obojętnie z której strony, by nie patrzeć, Śląsk Cieszyński znajduje się zawsze u nas, a nie gdzieś za granicą. Dane pojęcie zupełnie niestety uległo tak zwanemu banalnemu nacjonalizmowi, który nie zna innej rzeczywistości aniżeli tę, w której się znajduje. Nacjonalizm, który z góry jest oflagowana przez jedno albo drugie państwo. Banalny nacjonalizm jest obecnie tak bardzo powszechny, że rzadko komu przyszłoby na myśl, jak wielkim absurdem są takie określenia jak ‘polska czekolada’ czy ‘czeska kawa’, które sugerują, jakoby kakaowce i kawowce rosły na terenie jednego lub drugiego państwa. Księstwo Cieszyńskie z uwagi na odniesienie do tego, co się dzieje, odniesienia do własnej państwowości, nawet jeśli nie do okre-

ślonej, nie wpisuje się w całości ani w jedno, ani w drugie z państw, które tu razem sąsiadują. Może tylko z wyjątkiem jakichś nieistotnych dyskursów roszczeniowych związanych z przeszłością. To wielka zaleta danego terminu, nawet jeśli naklejki Księstwo Cieszyńskie na samochodach osobowych łatwo mogą wywoływać złudne przekonanie, że dany organizm państwowy miał swych obywateli. Nie miał żadnych. Byli tylko właściciele ziemscy i ich poddani. Wolności obywatelskie nadeszły dopiero po upadku księstwa. W każdym razie pojęcie Księstwo Cieszyńskie to świetne antidotum na obrazy przeszłości kształtowane przez pryzmat różnic między etnicznie rozumianymi narodami. Nie jest niestety powszechnie znane, że w czasach przedmiotowych, nowoczesnych, sprzed pojawienia się rewolucji przemysłowej żadnych etnicznie rozumianych narodów nie było, a języki pisane, stosowane przez zwierzchność w Księstwie Cieszyńskim nie przekładały się na języki codzienne mieszkańców.

Chciałbym teraz porównać pojęcie 'Zaolzie' z pojęciem 'czeska część Śląska Cieszyńskiego'. W korpusie tekstów publicystycznych o charakterze regionalnym, które wywodzą się ze Śląska Cieszyńskiego Zaolzie bez względu na to, czy używane jest w kontekście przeszłości czy teraźniejszości odnosi się tak do terenu jak i do zamieszkujących go ludzi. Dane słowo najczęściej ewokuje tu niedookreślony teren po czeskiej stronie granicy, dawniej zamieszkaný głównie przez Polaków albo zwolenników Śląskiej Partii Ludowej, a obecnie przez ludzi, z którymi można czasem porozumieć się gwarą cieszyńską, a nawet czysto po polsku. Termin Zaolzie na Śląsku Cieszyńskim pojawia się często w kontekście odniesień do imprez folklorystycznych, takich jak Gorolskie Święto, do konkursów gwarowych, zespołów regionalnych i tym podobnie. Instytucje Śląska Cieszyńskiego chcą dany teren promować przez odniesienia do własnej regionalnej specyfiki i do własnego dziedzictwa kulturowego, a nie przez odniesienia do dawnych konfliktów historycznych czy zaszłości. I tu jest pies pogrzebany, bo słowo Zaolzie w kontekście ogólnopolskim przywołuje na myśl właśnie konflikty i zaszłości. Do świadomości zaolziańskich Polaków nie dociera na razie fakt, jak bardzo w dyskursie nie cieszyńskim, lecz ogólnopolskim słowo Zaolzie obciążone jest negatywnymi ko-

notacjami, jeśli w ogóle jest znane i rozumiane. Poza Śląskiem Cieszyńskim dany termin albo jest niezrozumiały, albo odnosi się do historii i do wzajemnie odbieranego sobie przez Czechosłowację, względnie Czechy i Polskę terenu. Gdyby wyrazić to innymi słowy w uszach przeciętnego Polaka, Zaolzie nie wywołuje albo wcale żadnych skojarzeń, albo skojarzenia z zaszłościami historycznymi, które ewokują mieszane uczucia, poczucie niezręczności, a nawet odruch ucieczki od tematu. Nawet jeśli słowo Zaolzie jest rozumiane, to przywołuje na myśl przeszłość, a nie teraźniejszość, a co jeszcze ważniejsze, nie odnosi się do ludzi, lecz do spornego terenu. Jeśli by odnieść się nie do dyskursów instytucji państwa, lecz do dyskursów potocznych, nie jest w nich nawet istotna różnica między zaolziańskimi Polakami i Czechami, bo tak naprawdę to wszyscy Czesi. Widać więc, że słowo, które wśród zaolziańskich Polaków ma wybrzmienie pozytywne, wśród Polaków spoza Śląska Cieszyńskiego, choć niekoniecznie tylko tam, obciążone jest nie zawsze korzystnymi konotacjami. Jeśli dane słowo jest rozumiane, uruchamianym przez nie scenariuszem jest zamierzchła przeszłość i obecna w niej agresja jednego państwa przeciwko drugiemu i jest absolutnie bez znaczenia, kto jest uważany za drapieżnika, a kto za jego ofiarę. Przypominam, że interesuje mnie w tej chwili nie przeszłość, lecz pamięci społeczne, czyli powszechnie podzielane obrazy przeszłości, kreowane i utrzymywane w konwencjonalnych sposobach mówienia współczesnych Polaków. Wyobrażenie, że nasze cieszyńskie dyskursy niejako z automatu są dyskursami ogólnopolskimi byłoby dosyć naiwne. Pamięci społeczne Polaków zawierają wiele traum. Każde skojarzenie z zaszłością historyczną, zwłaszcza gdy człowiekowi brakuje wiedzy o konkretach, budzi odruch ucieczki, odruch grzecznego przemilczenia, żeby nieświadomie czemuś niedobremu się nie przytaknęło, albo samemu się czegoś nieodpowiedniego nie chlapnęło. Ktoś mógłby to nazwać poprawnością polityczną, a ktoś inny znowu ogłądą, czy postawą grzecznościową, która każe człowiekowi wypowiadać się w taki sposób, żeby nieświadomie nie nadepnąć komuś na odcisk. Zwłaszcza każdy, kto jest trochę obyty w mediach społecznościowych, zdaje sobie sprawę, że hasła ewokujące zaszłości historyczne to doskonała amunicja dla wszel-

kiej maści hejterów i dezinformatorów, którzy są bezkarni, jeśli są odpowiednio sprytni i potrafią posługiwać się insynuacjami. Narracje o tym, kto komu w przeszłości co odebrał i oddał nie służą też do końca geopolitycznym ambicjom współczesnej Polski. Kto kojarzony jest z konfliktami granicznymi z lat 1919-1920 czy 1938 jest z góry skreślony. Odgrzewanie podobnych tematów nie służy polskiej racji stanu, którą jest poczucie stabilizacji i zaufania, a nie destabilizacji i niepokoju.

Stwierdziłem już, że hasło Zaolzie ewokuje konflikt o teren, nie o ludzi. A kapitał ludzki ważniejszy jest dzisiaj od terenu, przynajmniej na Zachodzie. Jaka stąd może wynikać propozycja? Że nie ma potrzeby unikania terminu Zaolzie na samym Śląsku Cieszyńskim. Jednak w odniesieniu do ogólnopolskiego dyskursu publicznego należałoby dwa razy się zastanowić, czy go stosować, bo nie dodaje estymy miejscowym Polakom z następujących powodów. Po pierwsze, jeśli dane słowo jest dla użytkownika języka polskiego niezrozumiałe, polska społeczność na Zaolziu staje się dla niego niewidoczna i nieinteresująca. Po drugie, z perspektywy ludzi, którzy rozumieją, co znaczy Zaolzie, dane słowo odnosi się w pierwszej kolejności do zaszłości historycznych i to takich, gdzie poszło o teren, nie o ludzi. Zaolziańscy Polacy w podobnej optyce mogą być wręcz nierozróżnialni od Czechów. Po trzecie, odniesienia do zaszłości historycznych są potencjalnie kłopotliwe, jeśli w systemach wartości wysoko stoją stosunki dobrosąsiedzkie i przyszłość integracji europejskiej. Wszystkie czynniki razem wzięte powodują, że słowo Zaolzie w głębi Polski i pewnie nie tylko tam, nie sprzyja popularności zaolziańskich Polaków. Możliwym rozwiązaniem byłoby używanie w dyskursach odnoszących się do współczesności określenia „czeska część Śląska Cieszyńskiego”. Jest ono na pewno nieścisłe, bo odnosi się również do terenów spoza jurysdykcji byłej Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, jednak w dzisiejszej czeskiej części Śląska Cieszyńskiego Polacy i tak wszędzie są w mniejszości, zarówno na Zaolziu, jak i poza nim. Określenie „czeska część Śląska Cieszyńskiego” stosowane nie lokalnie, lecz w ogólnopolskich dyskursach publicznych pozwoliłoby złapać kilka srok za ogon. Po pierwsze, zaolziańscy Polacy mogliby w ten sposób uniknąć niepo-

żądanych skojarzeń z dawnymi konfliktami granicznymi. Po drugie, w ogólnopolskich dyskursach publicznych przywrócona zostałaby pamięć o tym, że więcej niż połowa Śląska Cieszyńskiego znajduje się po czeskiej stronie granicy. Po trzecie, kto wie, że pierwszym terenem niepodległej Polski po I wojnie światowej był Śląsk Cieszyński, będzie zgodnie z prawdą przyjmował, że Polacy na Śląsku Cieszyńskim byli podmiotem historii, a nie przedmiotem w sensie bezbronnej igraszki. Ludzie z obydwu stron Śląska Cieszyńskiego doprowadzili przecież do tego, że część byłego księstwa stanowi dziś integralną część Polski. To ich wspólna zasługa. Zaolziańskim Polakom przydałoby się dyskursywne wpisanie ich w narrację sukcesu, a nie w narrację o zaszłych krzywdach, które w szerszej perspektywie nie wydają się nawet istotne, bo jak tu porównywać Polaków z Zaolzia z milionami Niemców albo Węgrów, które po I wojnie światowej znalazły się na terenie obcych państw narodowych. Czwartą sroką, którą można złapać za ogon dzięki pojęciu „czeska część Śląska Cieszyńskiego” to odnowienie poczucia wspólnoty ze Śląskiem Cieszyńskim w granicach Polski, którego brakuje niestety zaolziańskim Polakom i na odwrót. Są na to namacalne dowody. W filmie Izabeli Wałaskiej pt. „Zaolzie. Fenomen Z” poza enigmatyczną wzmianką narratorki nikt o żadnym Śląsku Cieszyńskim po drugiej stronie granicy nie wspomina, a szkoda, bo Zaolzie nie jest pod względem swej kultury ludowej samoistnym bytem, tylko integralną częścią Śląska Cieszyńskiego i to nawet z uwagi na niemiecki czy czeski wymiar dziedzictwa kulturowego. Przechodząc do podsumowania i wysunięcia wniosków chciałbym stwierdzić, co następuje. Nie jest odkryciem, że na rzecz Zaolziańskich Polaków pracuje narracja sukcesu, a nie narracja porażki. Jak stwierdziliśmy na początku, podobna narracja może przyjmować postać swoistego skrótu zawierającego się w konotacyjnej otoczce słowa, inaczej w zagęszczeniu konotacji, które Barth nazwał kiedyś mitem. Nie jest więc bez znaczenia, jakich pojęć używamy, bo słowa, które pod względem swych definicji słownikowych są synonimami lub częściowymi synonimami, pod względem swej konotacyjnej otoczki, która składa się z przywoływanych na myśl skojarzeń, mogą mieć zupełnie różne wybrzmienie. Mogą przywoływać do świado-

mości odmienne narracje i wartości. Na tym podstawowym spostrzeżeniu opierają się wszelkie strategie dyskursywne.

W opowieściach o współczesnych Polakach na Zaolziu w ramach ogólnopolskiego dyskursu publicznego trzeba świadomie dobierać takie pojęcia, które wpiszą ich w narrację sukcesu. Przywoływanie konfliktów czechosłowacko-polskich wpisuje ich raczej w narrację porażki, bo implikuje, czyli sugeruje po cichu, że zawsze byli przedmiotem posunięć innych graczy, co nie jest prawdą. Przodkowie zaolziańskich Polaków sami byli graczami i to poważnymi. Cieszyńscy Polacy, podobnie jak inne nacje w Europie Środkowo-Wschodniej, względnie szybko opanowali niemiecki wynalazek, jakim były ruchy narodowe. Ukształtowały się one w państwach i państewkach niemieckich, po pierwsze, jako reakcja na kulturowe rozbieżności, po drugie, jako reakcja na dominację języka i kultury francuskiej w wyższych warstwach społecznych. Siedziba króla Prus w Poczdamie po dziś dzień niesie francuską nazwę Sanssouci, podobnie jak berliński szpital Charité. Ideę narodu etnicznego powołał do życia Johann Gottfried Herder, który postulował, by traktować ludową twórczość słowną jako element historii kultury, nawet jeśli ma tylko formę mówioną, a nie pisaną. Idee Herdera doprowadziły Carla Friedricha von Savigny do sformułowania koncepcji duszy narodu ujawniającej się w folklorze. Zasadniczym motywem pierwszych zbieraczy folkloru słownego były próby zrekonstruowania podobnej duszy. Zarzewiem pierwszych ruchów narodowych i obywatelskich, które doprowadziły do wiosny ludów, były też bracia studenckie nazywane burszenszaftami. Czymś na sposób takiego bractwa było też pewnie Złączenie Polskie, nieoficjalna organizacja uczniowska założona w Gimnazjum Ewangelickim przez Pawła Stalmacha w roku 1842, która miała na celu ćwiczenie się w języku polskim. Polacy na Śląsku Cieszyńskim inspirowali się niemieckimi ruchami narodowymi, podobnie jak Czesi, Słoweńcy, Serbowie Łużyccy i inne nacje. Wzorowali się na niemieckich folklorystach, między innymi na braciach Grimm. Wynika z tego między innymi taki wniosek, że jeśli w języku czeskim hasło *narodní obrození* przywołuje na myśl narrację sukcesu, może warto pomnożyć wysiłki, żeby hasła takie jak *Przebudzenie Narodowe*

czy Wiosna Ludów w Księstwie Cieszyńskim w naszych głowach tak samo ewokowały opowieść o tym, że Polakom w Cieszyńskim się udało. Może warto by przerobić na reelsy, czyli rolki, pamiętnik starego nauczyciela Jana Kubisza albo uwarunkowania cieszyńskiej kultury ludowej Karola Daniela Kadłubca. O tym niech rozstrzygną już ci, którzy znają się na podobnych technikach przekazu.

Sytuacja polskiej mniejszości na Zaolziu

Szanowne audytorium, bardzo cieszę się, że mogłem wystąpić tu na tym panelu dotyczącym Zaolzia, na tej konferencji z dyskusją. I chociaż jestem historykiem, to swoje wystąpienie poświęciłbym naszej współczesności – historii będzie więc mniej, zaproponuję raczej opis naszej współczesnej rzeczywistości. Polacy stanowią tradycyjną mniejszość narodową w Republice Czeskiej, autochtoniczna ludność polska w Republice Czeskiej żyje w zdecydowanej większości na terenie Zaolzia, które jest częścią historycznego Śląska Cieszyńskiego. Księstwo Cieszyńskie było od początku XX wieku miejscem zderzeń polskiego ruchu narodowego z narodowymi ambicjami czeskimi. Konflikty narodowe przyniosły taki owoc – mogliśmy powiedzieć, że zepsuty – w postaci podziału Śląska w 1920 roku, czego konsekwencją było pojawienie się po czechosłowackiej stronie Zaolzia. W przeszłości Zaolzie nazywane było przysłowiową kością niezgody w stosunkach czesko-polskich, a konflikt czesko-polski o Zaolzie rzucał swój złowrogi cień również na życie polityczne, gospodarcze, kulturalne nie tylko regionu, ale obu państw. A nawet na karty opracowań historycznych polskich i czeskich naukowców. Przez co jej historiografia stała się platformą wzajemnej konfrontacji.

Konfliktowa historia Zaolzia miała też wpływ na jakość stosunków międzyludzkich na Zaolziu w relacjach pomiędzy Polakami i Czechami tu żyjącymi. Relacje te nie były raczej dobre, choć miały miejscami świetlejsze punkty. Był to stan takiego niezbyt ufnego współżycia. Ulegały również ewolucji od konfliktu w okresie międzywojennym, przez nienawistną rzeczywistość nazistowską, okupacją, groźby fizycznej likwidacji narodu polskiego, aż do wymuszonej potem pełnej fałszu i złośliwości przyjaźni w czasach komunistycznych. Dopiero zmiany ustrojowe po roku 1989 i powrót obu państw Polski i Czechosłowacji do rodziny europejskich państw demokratycznych przyniosły poprawę stosunków na linii Praga

i Warszawa. Poprawne stosunki między Polską i Republiką Czeską bez wątpienia przyczyniły się do regulacji stosunków tych międzyludzkich, albo poprawy tych stosunków wzajemnych, do postrzegania Polaków i Czechów na Zaolziu. Zasadnicze znaczenie w tej kwestii ma właśnie demokratyczny system polityczny Republiki Czeskiej, który gwarantuje zestaw praw mniejszości polskiej, a mniejszość może wznosić swe postulaty, które znajdują zastosowanie w praktyce. Można więc mówić tu o jakimś takim normalnym współżyciu mniejszości i większości. Mniejszości, która udziela się w funkcjonowaniu czeskiego społeczeństwa obywatelskiego.

W 2011 roku narodowość polską w Republice Czeskiej zadeklarowało 39 tysięcy. Potem mieliśmy następny spis w roku 2021, a liczba, a struktura narodowościowa Polaków na Zaolziu trochę się zmieniła – zmniejszyła się liczba tych Polaków deklarujących narodowość polską, a zwiększyła się liczba Polaków deklarujących podwójną narodowość właśnie w kombinacji z innymi narodowościami. Można wtedy powiedzieć, że Polacy podlegają procesowi asymilacji na Zaolziu i to już w czasach demokratycznych. Nie oznacza to jednak, że ludność polska jest poddawana jakimś wyrafinowanym metodom przymusowej asymilacji. Raczej chodzi o zjawisko naturalne, na które mniejszość może aktywnie wpływać, by mu zapobiegać. Jakieś incydentalne zjawiska, które mogą przyspieszać asymilację, też mogą się zdarzać, ale na pewno nie w jakiejś zatrważającej skali. Co prawda niektórzy naukowcy nazywają współczesną zaolziańską, rozwijaną na bazie standardów europejskich dwukulturowość, tylko w cudzysłowie eksperymentem pluralności czeskiego społeczeństwa, to jednak stosunki między Polakami i Czechami w porównaniu z okresami poprzednimi, są ogólnie rzecz biorąc dobre – pomimo teoretycznych incydentalnych ekscesów i rzeczy, które nie powinny się zdarzać.

Chciałbym najpierw zastanowić się nad zjawiskiem reprezentacji interesów polskiej mniejszości w Republice Czeskiej. W 1989 roku po zwycięstwie aksamitnej rewolucji, zmieniły się warunki kształtujące życie społeczno-polityczne w Czechosłowacji (a od roku 1993 w Republice Czeskiej). Zasadniczym pytaniem dla Polaków na Zaolziu okazała się kwestia

powołania nowej reprezentacji mniejszości polskiej – w praktyce obok siebie rozwijały się wówczas dwie koncepcje. Do tamtej pory, w czasach komunistycznych, reprezentantem interesów polskich była partia komunistyczna, która do tego celu, aby reprezentować interesy również polskiej mniejszości, założyła Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Będący głosicielem polityki partii wśród Polaków na Zaolziu. Po roku 1989 doszło do zmiany tego systemu i w praktyce obok siebie zaczęły rozwijać się aż dwie koncepcje, dwa pomysły na to, kto ma reprezentować wspólne interesy mniejszości polskiej. Część działaczy uważała, że reprezentantem polskiej mniejszości powinna mieć charakter narodowy, mowa więc o czymś takim, jak narodowa partia polityczna. Druga część zaolziańskich Polaków, zapewne pod wpływem złych doświadczeń (wiodącą rolę partii komunistycznej) oraz pod wpływem filozofii politycznej Wacława Hawła obstawała przy zdaniu, że reprezentacja powinna wzejść z klucza obywatelskiego, poza strukturami. W ten właśnie sposób utworzyła się dwutorowa struktura. Z jednej strony powstała sekcja Polska Politycznego Ruchu Coexistentia-Wspólnota, który kreował się jako obrońca mniejszości narodowych w całej Czechosłowacji, a swój elektorat miał skoncentrowany w gminach węgierskich na południowej Słowacji. Zaś z drugiej strony, powstała inicjatywa obywatelska Sekcja Polska Forum Obywatelskiego, z której zrodził się później Kongres Polaków w Republice Czeskiej. Oba ugrupowania między sobą w pewien sposób rywalizowały, co przejawiało się na przykład tym, że do tego samego urzędu w Warszawie wyjeżdżały dwie delegacje z Zaolzia z takim samym tematem pod obrady. To były początki lat 90. Po rozpadzie Czechosłowacji i powstaniu Samodzielnej Republiki Czeskiej 1 stycznia 1993 roku znaczenie ruchu politycznego Coexistentia-Wspólnota nieco podupadło, gdyż właśnie cały ten elektorat węgierskiej mniejszości został na Słowacji, a w Czeskiej Republice została tylko mniejszość polska, znacznie mniej liczebna niż ta węgierska. Nie mogła posilkować się więc wsparciem Węgrów z południowej Słowacji i dlatego straciła na znaczeniu. Również możemy wtedy powiedzieć, że zwyciężyła ta koncepcja obywatelska. Oczywiście nie do końca, gdyż ta fantazja polityczna, że w nowej republice demokratycznej partii poli-

tyczne będą miały mniejsze znaczenie, a większe znaczenie będzie miało bezpośrednie zaangażowanie się obywateli w działalność społeczeństwa obywatelskiego nie do końca się sprawdziła i partie polityczne stale mają wielkie znaczenie w życiu politycznym. Ta hawłowska filozofia ustąpiła trochę z planu głównego i okazuje się, że partie polityczne będą miały zasadnicze znaczenie w życiu politycznym naszego regionu.

Pytanie jest takie: czy jeżeli już Polaków jest tak mało, to czy są w stanie wygenerować swoją polityczną reprezentację? Jedyna droga wiodąca do parlamentu czy innych centralnych organów ustawodawczych wiedzie przez wchodzenie w struktury innych partii politycznych. W każdym razie faktem jest, że wyrażanie woli politycznej Polaków na Zaolziu przybrało po tych po zmianach demokratycznych i strukturalnych bardzo spokojny charakter, co sprzyjało nawiązywaniu poprawnych relacji między Pragą i Warszawą oraz rozwijaniu konstruktywnych debat między Pragą i mniejszością na Zaolziu, wprowadzaniu praw mniejszościowych i budowaniu wzajemnego zaufania. Wyrażanie woli politycznej polskiej mniejszości przez to, że odbywało się na bazie właśnie tej obywatelskości, pomogło stosunkom, zarówno między Pragą i Warszawą, jak również między Pragą i Śląskiem Cieszyńskim, Zaolziem, mniejszością polską na Zaolziu. Należy też pamiętać, że takim drugim czynnikiem, oprócz takiej powiedzmy ogólnej dobrej atmosfery, która zdecydowanie wpłynęła na poprawę stosunków między Polakami i Czechami na Zaolziu, było wprowadzenie standardów europejskich właśnie w dziedzinie ochrony praw, czyli człowieka i ochrony języka mniejszości.

Republika Czeska jako samodzielne nowe państwo zostało już w 1993 roku członkiem Rady Europy, a w roku 2004 wstąpiło do Unii Europejskiej. W związku z członkostwem w tych europejskich instytucjach Republika Czeska została sygnatariuszem kilku znaczących dokumentów prawa międzynarodowego. Najważniejszymi z tych dokumentów są Konwencja Ramowa o Ochronie Mniejszości Narodowych oraz Europejska Karta Języków Regionalnych lub Mniejszościowych. Ten pierwszy dokument wymaga procesu monitorowania, czyli Republika jest zobowiązana przedstawiać w pewnych przydziałach czasowych raporty o aplikacji,

o realizacji tego dokumentu europejskiego, Konwencji Ramowej. I kiedy czescy eksperci rządowi wystawili pierwszy raport, to ten kolektyw się nie rozszedł, ale został poproszony o dalszą współpracę, której wynikiem było przygotowanie ustawy o prawach członków mniejszości narodowych, która została przyjęta 10 lipca 2001 roku. I tak Republika Czeska ma swoją ustawę o mniejszościach narodowych. Prawnicy nazywają taki dokument *rex generalis*, czyli prawo takie generalne, ogólne. Ta ustawa wymienia wszystkie prawa, które należą się mniejszościom, a potem poszczególne kroki, w jaki sposób te prawa mają być realizowane, poprzez zawieranie poszczególnych konkretnych ustawach. Czyli istnieje na przykład prawo wprowadzania dwujęzyczności, to jest ogólnie powiedziane w tej ustawie o mniejszościach narodowych, a konkretna ustawa o gminach nam pokazuje, w jaki sposób to prawo ma być realizowane. To podwójne nazewnictwo jest najbardziej wyrazistym przejawem zmaterializowania w tej dziedzinie ducha europejskiego. Ten duch europejski znajduje odzwierciedlenie praktyczne w tej podwójnej tabliczce nazewnictwa. Podwójne nazewnictwo jako standard europejski w dziedzinie ochrony języka, chociaż budzi niekiedy kontrowersje, uważam jako czynnik, który w perspektywie przyszłości poprawi wzajemne stosunki między Polakami i Czechami. Doprowadził również jakiegoś zbliżenia obu stron, ponieważ skonfrontował czeskie społeczeństwo z rzeczywistością, z którą oni nie do końca się zgadzali i zmusiło tę milczącą większość czeskiego społeczeństwa, nie jakichś radykałów, którzy od razu by taką tabliczkę zniszczyli, ale właśnie tę nieradykalną milczącą większość do określenia w tej sprawie. Musieli wtedy odczuć jakiś związek ze swoją mniejszością, w ogóle zaakceptować, zrozumieć, że ci Polacy wciąż jeszcze żyją. I tworzą wspólnotę na ich terenie. Musieli odczuć jakiś związek, który pomimo obiekcji części społeczeństwa jest podstawą, na której buduje się poczucie odpowiedzialności nie tylko za swe sprawy, które mnie ciekawia, ale również za sprawy mniejszości narodowej, która żyje wspólnie ze mną na tym samym terenie. Sam jestem absolutnie przekonany o tym, że nawet ta negacja albo negatywny pogląd jest więcej wart niż ignoracja, niż zo-bojętnienie, niż powiedzenie, że mnie to nie interesuje: róbcie co chcecie.

Czyli nawet to negatywne poczucie, które wywołało wielką dyskusję było ważniejsze niż ta cicha ignoracja, którą do tej pory można była przez tę rozsądną większość, którą szanujemy, zauważyć. Uważam, że jest to pozytywna zmiana.

Była to luźna refleksja na temat tych standardów europejskich dotyczących ochrony języka mniejszościowego. Obok takich nowych nowinek, które pojawiają się w tym europejskim duchu, mamy Zaolziu jeszcze inne standardy, które jednak istniały tu już dłuższy czas, gdyż mniejszość polska jako mniejszość historyczna żyła tu w poprzednich epokach i dlatego w tych poprzednich epokach w jakiś sposób istniała i wytworzyła sobie jakiś poziom własnej egzystencji. I tak mamy na Zaolziu również szkolnictwo polskie, które istnieje od czasów najdawniejszych. Pierwsze szkoły polskie, z polskim językiem nauczania, powstawały już gdzieś pod koniec XVIII wieku i potem w wieku XIX. Te polskie szkoły, razem ich jest 25, są częścią systemu edukacyjnego Republiki Czeskiej w pełnym wymiarze programów nauczania. Czyli są w czeskim systemie nauczania. I dlatego chyba najbardziej trafnym określeniem, jak by te szkoły nazywać, byłoby sformułowanie: „szkoła czeska z polskim językiem nauczania” albo „szkoła z polskim językiem nauczania”, ponieważ jedynym wyróżnikiem od szkoły czeskiej jest tylko ten język nauczania, programy są takie same. W Czechach jest bowiem tak, że istnieje ogólny program szkolny, który jest wytworzony przez urzędy centralne, Ministerstwo Szkolnictwa, ale to jest taki wzór, który mogą poszczególne szkoły przystosować sobie do własnych potrzeb i wytworzyć sobie własny program szkolny: czyli program kształcenia dla poszczególnej szkoły. Dzięki temu można uruchomić fantazję dyrektorów. Można to, co państwo zaleca, w jakiś sposób dostosować do własnych potrzeb i szkoły czeskie najczęściej wzmacniają naukę języków obcych albo matematyki, bo to jest dzisiaj bardzo potrzebne. Szkoły polskie zachowują, poruszając się w pełni w tym czeskim programie, naukę języka polskiego. Nauka wszystkich przedmiotów w szkołach odbywa się w języku polskim – oprócz języka czeskiego, wprowadzanego od drugiej klasy, który jest oczywiście obowiązkowy. W dawnych czasach było tak, że rzeczywiście dzieci uczyły się polskiego, a języka czeskiego

uczyły się jako języka obcego, ale dzisiaj w wielu rodzinach ten czeski i polski są na równi, więc uczniowie czują się równie dobrze w obu kulturach. Uczniowie potem w tym czeskim systemie nauczania w trzecim roczniku szkoły podstawowej rozpoczynają naukę kolejnego języka obcego. W wypadku tych naszych szkół z polskim językiem nauczania jest to najczęściej język angielski, ale to nie wszystko. W dalszym etapie nauczania placówki szkolne mają obowiązek wprowadzić do systemu nauczania w swojej szkole kolejny język obcy. Najczęściej są to języki: niemiecki, hiszpański, włoski. Ostatnio był popularny również rosyjski, który wracał do łask nauczycieli i uczniów, ale zdarzenia związane z agresją na Ukrainę znów raczej spowodują niechęć do tego języka.

Życie organizacyjne Polaków na Zaozliu w chwili obecnej jest bardzo bogate. Mamy wiele organizacji, mamy swoją prasę, media i nawet, teatr, czyli Polską Scenę Teatru Cieszyńskiego, która była długi czas jedynym profesjonalnym zespołem teatralnym poza Polską. Mamy też wśród tej prasy tytuł „Głos”, który ukazał się w maju 1945 roku po raz pierwszy, co by oznaczało, że jest to najdłużej na świecie wydawane bez przerwy pismo polskie poza granicami kraju. Nasz Śląsk Cieszyński tworzy jeden wspólny Euroregion z polską stroną, będąc źródłem wielu ciekawych przygranicznych, transgranicznych inicjatyw, które wpływają poprawnie na życie Polaków i Czechów na Zaozliu.

Podsumowując, można stwierdzić, że społeczność czeska, ta większościowa, na Zaozliu traktuje „swoich Polaków” jako grupę mniejszościową, która jest integralną częścią czeskiego społeczeństwa obywatelskiego. Dlatego wszelkie przejawy partycypacji, współudziału mniejszości polskiej w życiu obywatelskim Republiki, będące wynikiem realizacji praw mniejszościowych, traktują Czesi ze zrozumieniem jako właściwe działanie posiadające legitymację. Owszem, działania zmierzające w kierunku pogłębiania tożsamości narodowej i odrębności kulturowej oraz demonstrujące polskość w czeskiej sferze publicznej budzą niekiedy lęk i podejrzenie o rewizjonizm nawet u ludzi, którzy „mają równo pod sufitem” – choć naturalnym jest, że mniejszość pragnie zachować swój narodowy stan posiadania i przeciwdziałać asymilacji. Pamiętajmy jednak, że chęć

przeciwdziałania asymilacji wymaga prowadzenia z większością czeską aktywnego dialogu. Z dialogu prowadzonego, rozsądnymi argumentami rodzi się poczucie wzajemnego szacunku i odpowiedzialności, głównie wśród tych Czechów, którzy żyją obok nas.

Percepcja nazwy Zaolzie wśród współczesnych Czechów i Polaków

Dzień dobry, Szanowni Państwo. W odróżnieniu od Pana Profesora Zenderowskiego będę mówił nie o sprawach, na których się znam, ale o sprawach, na których się nie znam. Dlatego stoję tutaj z wielką pokorą jako człowiek, który ani nie zajmował się naukowo Zaolzie nigdy w trakcie swojej kariery, ani nie jest tutejszy. W historii mojej rodziny nie ma żadnego elementu zaolziańskiego, nie było mi dane w żaden sposób współuczestniczyć w tych doświadczeniach historycznych, które zaolziańską tożsamość tworzyły. Zaolzie śledzę od wielu lat jako obserwator z zewnątrz. W pewnym sensie jest to pochodna mojego udziału w tworzeniu relacji polsko-czeskich. Bez specjalnego wahania mogę stwierdzić, że przez wiele lat Zaolzie było w moim postrzeganiu, właśnie człowieka z zewnątrz, taką lokalną przeszkodą dla budowania relacji między Warszawą a Pragą. Tym bardziej cieszę się z tego, że mogę właśnie z Państwem przez chwilę o tej tożsamości, która jest dla mnie czymś obcym, czymś słabo znanym, porozmawiać: trochę posłuchać, trochę od siebie dodać. Właśnie jako obserwator z zewnątrz i to moje krótkie wystąpienie, taka garść refleksji, stanowić będą refleksje człowieka, który patrzy na Zaolzie z zewnątrz i to równocześnie z dwóch stron. Z jednej strony jako Poznaniak, jako Pola z szeroko pojętego centrum Polskości, a z drugiej strony jako długoletni polski dyplomata, jako człowiek żyjący przez wiele lat w Pradze i w jakiś sposób uczestniczący w czeskiej debacie publicznej i dość uważnie ją śledzący. Muszę powiedzieć, że dla mnie takim pierwszym momentem pewnej epifanii związanej jednak z wagą tematu Zaolzia był moment, kiedy zapoznałem się wnikliwiej ze sławnymi karykaturami, które powstawały w okolicach wojny polsko-czeskiej o Śląsk Cieszyński w 19-20 roku. Ponieważ te karykatury dobrze pokazują, uświadamiają, że Zaolzie jest taką soczewką, w której skupiały się negatywne emocje,

które istniały i negatywne stereotypy, istniejące na linii polsko-czeskiej. Po obu stronach granicy znajdziemy tam katalog tych najbardziej negatywnych emocji, niekorzystnych skojarzeń, które o sobie nawzajem mieliśmy i często, pokutowały w różnych pokładach wspólnej pamięci po obu stronach granicy: nie tylko na pograniczu, ale również w Warszawie czy Pradze. Więc w związku z tym chciałbym chwilę mówić o tym, jak Zaolzie wpływa na postrzeganie, nasze wzajemne postrzeganie Polaków i Czechów jako społeczeństw i też odwrotnie, jak szersze, wysokie relacje polsko-czeskie mogą wpływać na rozwikłanie pewnych dylematów związanych z tożsamością, z marką Zaolzie.

Skoncentruję się więc na dwóch obszarach. Pierwszy z nich dotyczy tego, w jaki sposób funkcjonuje termin Zaolzie w Pradze (umownie tutaj mówię o Pradze, ale chodzi mi po prostu o Czechów i czeską debatę publiczną). Dobrze wiemy, że niewiele go tam. Dobrze wiemy, że ten temat jest na marginesie zainteresowania. Dobrze wiemy, że z Pragi do Cieszyna z perspektywy Czecha jedzie się bardzo, bardzo długo. Niewiele jest miejsc w Republice Czeskiej, do których jedzie się dłużej niż do Cieszyna. Ale gdzieś to Zaolzie się pojawia, są to dwa wymiary, w których powraca jako taki żywy punkt odniesienia. Ten pierwszy to pewien resentyment antypolski, który w chwili obecnej, w ostatnich latach, jest bardzo intensywnie wykorzystywany jako narzędzie rosyjskiej propagandy. To może być nieświadome reprodukowanie propagandy, ale też czasami intensywność i częstotliwość, z jaką się ten temat pojawia pod wszystkimi możliwymi artykułami dotyczącymi Polski i zaangażowania Polski w konflikcie zbrojnym na wschodzie każe się domyślać, że to nie jest tylko i wyłącznie przypadek, tylko i wyłącznie kwestia jakiegoś szczególnego przywiązania czeskich internautów do tej problematyki. Bo każda dyskusja, w której pojawia się Polska i Rosja, kończy się konkusją na temat roku 1938 i tego, jak Polacy przeszkodzili bohaterskiej Armii Czerwonej w uratowaniu ówczesnej Czechosłowacji. Drugim takim wymiarem, w którym Zaolzie funkcjonuje na poziomie tej praskiej, centralnej debaty, to jest potwierdzenie pewnej sprawczości, potwierdzenie pewnej pozytywnej opowieści na temat międzywojennej Czechosłowacji która, jak wiemy, jest jednym

z takich fundamentów współczesnej czeskiej tożsamości. Potwierdzenie w wymiarze, który ja z dużą dozą ironii nazywam muskularną czeskością. Polacy patrzą na czeskość przez pryzmat wojaka Szwejka, Karla Czapka i filozofa Masaryka. Ale jednak, kiedy zagłębimy się w historię, w kulturę pierwszej, tej międzywojennej Czechosłowacji, to ta muskularność, ta duma z osiągnięć czeskiego oręża jest bardzo mocno obecna. To było państwo ufundowane na micie walki zbrojnej Czechów, czechosłowackich legionistów w czasie pierwszej wojny światowej i nawet postaci tak związane z tym liberalno-demokratycznym mitem Czechosłowacji międzywojennej, jak Karel Čapek, mają na swoim koncie chociażby bardzo bojowe, nacjonalistyczne, wierszyki propagandowe na temat Zaolzia. Więc tutaj pojawia się wymiar czeskiej tożsamości, troszeczkę zapomniany nawet przez samych Czechów, ale jednak jakoś tam istniejący nie tylko w podświadomości, ale też w systemie edukacyjnym. Śmiem twierdzić, że jeżeli chodzi właśnie o pewną stabilność, monolityczność pewnego takiego narratywu narodowego, to te czeskie wiele bardziej jednolite i mają bardziej jednolitą wizję własnej historii niż w przypadku Polski. To oczywiście powoduje i warunkuje pewną reakcję na ewentualne propozycje z naszej strony głębszego pochylenia się nad kwestią Zaolzia, kwestią jakiegoś poszukiwania, pewnej symetrii między rokiem 19 a rokiem 38. Ponieważ jeżeli żyjemy w świecie pewnej opowieści – teraz mówię o Czechach – w której jakby wszystko jest jasne, to każdy, kto próbuje wywołać dyskusję na ten temat, jest jętrzykiem, burzycielem, wichrzycielem, więc nie należy w ogóle reagować, no bo po co? Sprawa przecież jest zamknięta, w tego typu propozycji można się więc doszukiwać jedynie jakichś niecnych zamiarów.

To są te dwa wymiary i teraz może kilka słów o tym, jak pracować z tymi dwoma podstawowymi wymiarami funkcjonowania Zaolzia w czeskiej dyskusji. Jeżeli chodzi o ten wymiar rosyjski, to historia Zaolzia i rok 38 jako element wykorzystywany, jako instrument prorosyjskiej propagandy, to sprawa jest oczywiście bardzo delikatna i bardzo skomplikowana. Wszyscy wiemy, że jakby pod wieloma względami zajęcie Zaolzia w 38 roku jest trudne do wybronięcia w takim bardzo skrótowym, bardzo

takim emocjonalnym dyskursie, który w tej chwili panuje również z powodu przewagi mediów społecznościowych. I oczywiście bardzo trudno tutaj o jednoznaczne rozwiązanie tej sprawy. Ja w żadnym wypadku nie roszczę sobie prawa do posiadania takich rozwiązań. Natomiast wydaje mi się, że aktualny sentyment antyrosyjski, który pojawił się w Czechach po inwazji Rosji na Ukrainę i przewaga medialna jednoznacznie antyrosyjskiego kursu powodującego, że bardzo wiele takich dogmatów czeskiej samoświadomości – mit roku 45, mit wyzwolenia, inne rezydua słowianofilii XIX-wiecznej – jest w tej chwili kwestionowanych przez mainstream czeskiej dyskusji i debaty publicznej.

Dobrze byłoby więc w jakiś taki delikatny, finezyjny sposób dorzucać ten temat, problematyzować to jednoznaczne, czarno-białe widzenie sprawy międzywojennego Zaolzia właśnie poprzez demonstrowanie tego, że temat jest na terenie Czech wykorzystywany nieustająco przez siły albo związane, albo w jakiś sposób sympatyzujące z Kremlem. Ciekawym porównaniem mogłaby być kwestia Polaków na Wileńszczyźnie, gdzie również dochodzi do takiego zazębiania kilku różnych problemów. Z jednej strony relacje polsko-litewskie, z drugiej strony właśnie obawy Litwinów związane ze społecznością polską na Wileńszczyźnie – wydaje mi się, że ta świadomość wspólnego zagrożenia i wspólnego wroga pomaga w pewnym sensie dochodzić do pewnego status quo, do pewnego konsensusu na temat funkcjonowania mniejszości polskiej na Litwie, w której obie strony po prostu muszą zrobić krok wstecz, żeby znaleźć się na pozycjach wzajemnych do przyjęcia. Oczywiście tam te kwestie są jeszcze bardziej skomplikowane. Ale właśnie w tej rzeczywistości świata po 22 lutego 22 roku łatwiej jest o tych rzeczach rozmawiać dzięki temu – wiemy bowiem, kto jest naszym wrogiem, łatwiej nam więc przechodzić ponad pewnymi nieporozumieniami i dążyć do współpracy.

To wiąże się z drugim wymiarem muskularnej czeskości. Ciekawe jest porównanie z losem dziedzictwa Niemców Sudeckich, które oczywiście po II wojnie światowej postrzegane było jednoznacznie negatywnie, ale po 89 roku, jak dobrze wiemy, mieliśmy wielką falę zainteresowania i pewnego wprowadzania z powrotem dziedzictwa kultury niemieckiej

i Niemców Sudeckich do takiego głównego nurtu opowieści o historii Czech. Może ktoś słusznie zaprotestować, że po prostu tych Niemców już nie ma, że nie stanowią tematu i problemu politycznego. Natomiast mniejszość polska na Zaolziu trwa dalej i wiadomo, że jej zniknięcie nie jest ceną, którą warto płacić za znalezienie uznania w oczach czeskiego społeczeństwa. Pokazuje to jednak pewien kierunek. Pokazuje to, że poprzez nacisk na tożsamości lokalne, poprzez dbałość o swoje miejsce, o swoją małą ojczyznę, pielęgnowanie pamięci o historii lokalnej, nie musi mieć w żaden sposób ani wydźwięku politycznego, ani jakiegoś ostrza skierowanego przeciwko komuś.

W tym momencie wszystkim zapewne przyjdzie do głowy „Šikmý kostel” i Karin Lednická. Wiem, że książki tej autorki wzbudzają pewne emocje również wśród mniejszości polskiej na Zaolziu – ale jest to właśnie ta linia: opowiadanie historii regionalnej, opowiadanie małych ludzkich historii na tle wielkich dziejów. Ja sobie zdaję sprawę, że na pewno jest tam wiele nieścisłości, wiele fragmentów wzbudza sprzeciw. Natomiast myślę, że w ostatecznym rozrachunku – z punktu widzenia odbioru Zaolzia przez społeczeństwo czeskie – książka ta stanowi ważny krok w kierunku uświadomienia wielokulturowego dziedzictwa tej ziemi, uznania istnienia elementu polskiego na tym terenie. Uważam, że z perspektywy następnych 30 lat będziemy moment wydania tej książki uważali za pozytywny. Takim ciekawym, porównaniem – wracając znów na Litwę – mogą być powieści Kristiny Sabaliauskaitė, które są jakby litewską opowieścią o XVII wieku, o Rzeczypospolitej Obojga Narodów. I to jest spojrzenie, które oczywiście nie jest nasze, nie jest spojrzeniem Polaka z XX czy XXI wieku. Wywołuje więc na pewno wiele zarzutów o nieścisłość, o manipulacje i tak dalej. Natomiast w pewnym sensie są bardzo mocnym, widzialnym znakiem pewnego bolesnego procesu przyznawania się Litwinów do tego, że Polska i Polskość stanowi całkowicie niezbędny element tego, kim są dzisiaj. Po tym wielkim wyparciu, które się zaczęło gdzieś tam na końcu XIX wieku, kiedy w ogóle skreślili Polskę, wyrzucili ją z własnej historii, teraz w ostatnich latach te powieści są znakiem pewnego procesu, który zachodzi. Bo w ostatecznym rozrachunku właśnie poja-

wia się pytanie, czy tym największym problemem nie jest peryferyjność, prawda? Ta ignorancja, ten brak jakiegokolwiek dyskusji na temat Zaolzia w Pradze. Jeżeli problem jest nieobecny, to znaczy, że go nie ma. I pod tym kątem takie książki jak dzieła Lednickiej powodują, że ten problematyka może zaistnieć. Ktoś za nas tutaj zrobił pewien wyłom w murze i teraz można budować o stopień i kolejny stopień wyżej. Sądzę, że lepiej jest w czeskiej telewizji przez półtorej godziny posłuchać dyskusji właśnie o Żywocicach. Z mojej perspektywy to jest ważniejsze niż spór, czy Ignacy Mokrosz był, czy nie był kolaborantem.

Tutaj nawiązuje do dyskusji, która się odbyła w sierpniu przy okazji kolejnej rocznicy tragedii w Żywocicach. Przypominam sobie, że kiedy kilkanaście lat temu pierwszy raz wpadłem na pomysł, żeby wyszukać hasło „Żywocice” w czeskim internecie, to doklikanie się do informacji, że ci partyzanci, którzy dokonali egzekucji gestapowców, byli Polakami... Nie tylko, że byli Polakami, ale, że byli żołnierzami podziemnego państwa polskiego, to chwilę mi zabrało. Tej informacji nie było w Wikipedii, trzeba było przejść kilka stadiów tajemniczenia poprzez czeski internet, żeby do tej informacji dotrzeć. Dzisiaj, dzięki tym publikacjom, wszyscy o tym wiedzą. Wiadomo, że możemy się nie zgadzać z tym, jak w jakimś świetle zostali przedstawieni, ale to jest w zasadzie krok w pozytywną stronę.

Podsumowując tę czeską część, dla mnie właśnie takie połączenie pewnego asertywnego, nie agresywnego, ale asertywnego przypominania o tożsamości polskiej, jej obecności na Zaolziu, jest właściwą drogą właśnie w połączeniu z budowaniem pewnej marki wielokulturowego regionu, który ma wiele różnych korzeni. Bo te korzenie faktycznie są, ewoluują, zmieniają się.

Spojrzenie z „Polski polskiej”, nie śląskiej, nie śląsko-cieszyńskiej – to pierwsze spojrzenie, które już w latach 30. Adolf Bochański opisywał jako składanie interesów mniejszości polskiej na ołtarzu budowania dobrych relacji polsko-czechosłowackich, wsparte często o taki polski romantyczny idealizm, że nam nie wypada za bardzo się upominać o swoje. Do tego mamy kolejny wymiar, czyli pewien wstyd przed otwieraniem tego tematu oraz aktualniejszy: fenomen polskiej czechofilii. Jest to fenomen z

pogranicza psychologii i kultury, ponieważ polską czechofilię charakteryzuje tak zwane zjawisko odwróconej twarzy. Oznacza to, że w tej czeskości poszukujemy pewnej lepszej, alternatywnej wersji Polskości i zgodnie z tą zasadą to oczywiście Czesi zawsze są fajni i są na tej właściwej stronie historii, a my odwrotnie. No i potem jest jeszcze trzeci element, o którym nie powinniśmy zapominać: Polska ogólnie ma problem z tożsamościami regionalnymi. I to nie mówię koniecznie o narodowych identyfikacjach, tak jak w przypadku tej kwestii śląskiej, ale z jakimikolwiek tożsamościami w ramach polskości, które nie pasują do tego głównego nurtu, w jaki sposób opowiadamy swoją historię. I to mówię jako człowiek, którego rodzice urodzili się na ziemiach odzyskanych, które praktycznie jakby nie istnieją w jakiejś takiej polskiej tożsamości. Byłem wychowany przez ludzi z ziem odzyskanych, którzy zawsze mówili o nich z despektem. Że to są takie Niemcy, które przypadkiem się znalazły w Polsce, ale prawdziwa Polska jest tam: na przykład w Samborze – Powiat stryjski, sto kilometrów od Lwowa, z których to rejonów moja rodzina pochodziła. Urodziłem w Poznaniu i mogę powiedzieć, że nawet tożsamość poznańska w tej nowoczesnej polskości jest zmarginalizowana. Świadczy o tym już sam fakt, że ogólnonarodowe przypomnienie powstania wielkopolskiego pojawiło się w kalendarzu ważnych dni dopiero bodajże dwa lata temu. Ten problem z tożsamościami lokalnymi, które nie są w konflikcie z Polskością, tą dużą Polskością, po prostu istnieje.

No i teraz oczywiście zachodzi pytanie: co z tym zrobić? Zaczynając od końca, właśnie od tych tożsamości lokalnych, to właśnie teraz jest czas, kiedy te tożsamości lokalne sobie opowiadamy. Kiedy pojawiają się małe ojczyzny, te historie Mazurów, historie Ślązaków, historie Ziemi Odzyskanych. To jest ten moment, kiedy w Polsce jest zapotrzebowanie na te różne zmarginalizowane narratywy, niebędące zaprzeczeniem Polskości, ponieważ one ją wręcz przeciwnie, wzbogacają! I do tej Polski włączają – więc właśnie one są tak naprawdę najlepszym sposobem, jak bronić się przed przemianą tych regionalizmów, w jakieś ruchy polityczne. Można być równocześnie Ślązakiem i Polakiem i to jedno z drugim nie jest w konflikcie.

Jeżeli chodzi o te dwa pierwsze stereotypy związane z Zaolziem w Polsce, no to na poziomie kultury polska czechofilia też zaczyna dojrzewać, dorastać. Coraz częściej, w miarę jak jesteśmy narodem bardziej pewnym siebie, zwracamy uwagę na to, że Czechy mają również swoje negatywne strony, zaczynamy opowiadać o Czechach takich, jakie są, a nie takich, jakie sobie wymarzyliśmy gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych. I ta refleksja się pogłębia, nawet jakby śledząc to, co pisze jeden z ojców założycieli – czyli Mariusz Szczygieł. Teraz wprowadzie o Czechach już niewiele pisze, ale dopóki pisał, widać było po prostu ewolucję, jego coraz głębsze zrozumienie tego, że to jest kraj jak każdy inny, to znaczy ma swoje strony, które nas mogą ciekawić i takie, które są dla nas jakby dziwne czy niepostrzegane pozytywnie.

Jeżeli chodzi o ten punkt pierwszy czyli Zaolzie jako problem w relacjach polsko-czeskich, to powiedzmy sobie wprost: ten problem już nie istnieje. Nikt nie formułuje w sposób polityczny tematu mniejszości polskiej. Strona czeska przestrzega praw i dopóki tak jest, to temat nie będzie w żaden sposób istnieć. Wiadomo, że współpraca polsko-czeska jest tematem strategicznym i powinna być tematem strategicznym. Powinniśmy dążyć do maksymalnego zbliżenia, maksymalnego wzajemnego zrozumienia, ponieważ taki jest nasz interes państwowy, myślę, że obu naszych krajów. I ta zmiana, którą dostrzegam, polega na tym, że o ile wcześniej miałem wrażenie, że częściej to Polacy zainteresowani są współpracą z Czechami niż odwrotnie, to teraz mamy wyraźny wzrost prestiżu, wzrost znaczenia Polski zarówno wśród czeskich decydentów, jak i w społeczeństwie czeskim. I to jest ważny kapitał, na którym powinna się budować działalność publiczna mniejszości polskiej. Należy korzystać z tego, że coraz szersze grono ludzi w Czechach postrzega Polskę jako kluczowego partnera, jako filar bezpieczeństwa w regionie. Jako kraj, z którego czerpie się inspiracje dla własnych rozwiązań prawnych. Tutaj niebagatelną rolę odegrało zachowanie Polski w momencie rosyjskiej agresji na Ukrainę. Kartkując sobie genialną książkę Bocheńskiego „Między Niemcami a Rosją”, znalazłem takie zdanie, które wydało mi się w pewnym sensie prorocze. Słowa o tym, że *w perspektywie dziejowej za-*

decydują nie stosunki w Cieszynie, ale raczej może w Kijowie i w Charkowie. Oczywiście pisze on o tym, że relacje polsko-czeskie są pewną wypadkową relacji czesko-sowieckich w tamtym momencie. Ale w pewnym sensie to zdanie jest prorocze, bo rola, którą odegrała Polska w 22 i 23 roku spowodowała pewną bardzo zasadniczą i bardzo głęboką przemianę w czeskim establishmencie i czeskim społeczeństwie, która powoduje, że mamy najlepszy klimat dla wzajemnych relacji, A Polska ma w Czechach najsilniejszą od drugiej wojny światowej markę. I to też jest według mnie szansa dla Polaków. Tych, którzy nie tylko nie muszą wstydzić się za bycie są Polakami, ale również mogą w pewnym sensie korzystać z tego rosnącego prestiżu. Mogą też stać się pewnym łącznikiem pomiędzy naszymi krajami. I na tym pozwolę sobie skończyć.

Czterech jeźdźców nieprawdy historycznej

Chciałbym opowiedzieć wyjątkowo nie o rzeczach, które mnie bardzo interesują, czyli o historii dawnego Księstwa Cieszyńskiego, a o rzeczach, które mnie wybitnie irytują. Albowiem w trakcie ponad 20 lat zajmowania się przeszłością regionu nazywanego dzisiaj często Śląskiem Cieszyńskim i w trakcie pracy nad książką zatytułowaną *Dzieje Księstwa Cieszyńskiego*, ogarniało mnie bardzo często uczucie irytacji, czytając prace moich koleżanek i kolegów z cechu historycznego. I nie chodzi o poczucie, że ktoś popełnił jakiś drugo czy trzeciorzędny błąd, ponieważ im więcej materiału się przerabia, tym oczywistością jest to, że gdzieś nawet najlepszemu i najbardziej skrupulatnemu badaczowi przytrafi się jakaś faktograficzna pomyłka – pomyli datę, czy też przekręci imię albo nazwisko. To są rzeczy naturalne, wliczone w ryzyko zawodowe – nawet najlepsi recenzenci czasami nie potrafią tych rzeczy wychwycić. Można też zrobić osobne wystąpienie na temat słabości historiografii akademickiej, ale nie była to rzecz, która mnie najbardziej poruszyła w trakcie pracy nad *Dziejami Księstwa Cieszyńskiego*. Rzecz dotyczy podejścia autorów. Problem związany jest nie tyle z ich formacją intelektualną – mowa raczej o jakimś kluczu interpretacyjnym do zrozumienia tego, co się pisze na temat wydarzeń i 1919 roku i roku 1938. I tego, jak w ogóle dzisiaj dyskutuje się o Śląsku, prawdopodobnie po obu stronach rzeki Olzy, a także w dalszych terenach. W zasadzie są to cztery rzeczy, które by można było ująć jako rzeczpospolitanizm, jako niemiecki negacjonizm, jako czeski nacjonalizm i jako turbośląskość czy turbosilesianizm.

Jeśli chodzi o Rzeczpospolitalizm to, jak można się domyśleć, kwestia dotyczy problemu polskiej historiografii, skupiającej się głównie na terenach dawnej Rzeczypospolitej. Jest to dość naturalne zjawisko tyle, że schemat opowiadania o polskiej historii oparty jest de facto na schemacie stworzonym nawet nie przez Lelewela, co przez Naruszewicza

w XVIII wieku. I podobnie jak Naruszewicz nie wydał pierwszego tomu historii Polski, ponieważ może nie tyle się bał, co nie wiedział, jak ugryźć dość skomplikowany temat czasów przedmieszkowych (więc ten pierwszy tom ukazał się dopiero pośmiertnie), tak samo wyłączenie poza nawias tych terenów, gdzie mieszkali ludzie mówiący różnymi polskimi dialektami, ale nie będącymi mieszkańcami dawnej Rzeczypospolitej, spowodowało wyrzucenie ich poza nawias. I nie chodzi tylko o kwestie szkolnych podręczników, bo wiadomo, że często ludzie zajmujący się przeszłością chcieliby jakby napakować program szkolny do granic niemożliwości, ale chodzi bardziej o kwestie dyskursu akademickiego. Takim dobrym przykładem, ilustracją, jest dobór biogramów do Polskiego Słownika Biograficznego. Wydawnictwa, z którym współpracuję bardzo długo, będącym sztandarowym projektem polskiej humanistyki i tę współpracę cenię sobie bardzo i mam nadzieję, że po tym wystąpieniu ta współpraca, polegająca na opracowaniu biogramów osób związanych z terenami dawnego Księstwa Cieszyńskiego będzie kontynuowana. Procedura wygląda w ten sposób, że redakcja decyduje się zamówić biogram, natomiast rada Polskiego Słownika Biograficznego złożona z czołówki polskich historyków zazwyczaj podejmuje ostateczną decyzję, czy – mówiąc kolokwialnie – któryś biogram wchodzi, czy nie wchodzi. Czasami rzeczywiście te decyzje są uzasadnione tym, że czyjaś działalność była bardzo lokalna, a przecież słownik jest narodowy i trzeba dokonać pewnej selekcji. Jednak w Polskim Słowniku Biograficznym nie znajdziemy na przykład biogramu Leopolda Szersznika, co jest dość dziwne i frapujące, ale czasami tego rodzaju pominięcia się zdarzają. Natomiast postacią, która miała się znaleźć w Polskim Słowniku Biograficznym, a jednak się nie znalazła, jest Jerzy Trzanowski – nazywany słowiańskim lutrem, osoba urodzona w Cieszynie w 1592 roku. Jest on, w przypadku debat, przedmiotem sporu między czeskimi i słowackimi historykami. Ale Trzanowskiego też można traktować bardzo, bardzo szeroko – oczywiście rozumiejąc kontekst historyczny, ponieważ w okresie międzywojennym dochodziło nawet do dość przykrych sytuacji, że zmieniano teksty Trzanowskiego, żeby uzasadnić jego Polskość i to były dość przykre fałszerstwa. Matka Trzanow-

skiego pochodziła ze Śmiłowic, a ojciec z Trzanowic – czyli miejscowości, gdzie miejscowa ludność, jak wskazują jednoznacznie źródła historyczne, posługiwała się językiem polskim. Napisałem więc jego biogram, jednak Trzanowski został skreślony i znalazł się poza granicami Polskiego Słownika Biograficznego. Co ciekawe, pod literą T znalazł się biogram Rolanda Topora. Jest to Francuz, którego rodzice pochodzili z Polski, autor „Lokatora” zekranizowanego przez Romana Polańskiego. Topor, jak jeszcze czytałem wczoraj na portalu culture.pl, nie mówił po polsku. Rodzice Topora posługiwali się językiem polskim, kiedy nie chcieli, żeby syn ich rozumiał. Oczywiście co nieco umiał, nauczył się podobno polskich głosek dźwięcznych, tych szeleszczących, ale językiem polskim się nie posługiwał. Urodził się we Francji, nie mieszkał w Polsce. Nie zmarł w Polsce, nie pisał po polsku i znalazł się w Polskim Słowniku Biograficznym. Jerzy Trzanowski, którego rodzice mówili po polsku, który wzrastał w Cieszynie, musiał mówić po polsku, mieszkając w Cieszynie pod koniec XVI wieku i na początku XVII wieku. Oczywiście za sprawą edukacji, innych kontaktów i miejsca zamieszkania nabył znajomość niemieckiego, czeskiego i słowackiego i z pewnością jest postacią, którą bardzo trudno byłoby nazwać Polakiem. Zwłaszcza w dzisiejszym tego słowa znaczeniu – z pewnością nigdy bym się nie odważył na takie jednoznaczne określenie. Ale fakt, że ten Trzanowski znalazł się poza Polskim Słownikiem Biograficznym, a jest tam Roland Topor świadczy o dużym niezrozumieniu i zawężeniu narracji, skupiającej się tylko na dawnej Rzeczypospolitej.

Już na zasadzie bardziej takiej anegdotycznej chciałbym przywołać sytuację z kwestią nazewnictwa w czeskich części Śląska Cieszyńskiego. Jest taka miejscowość, którą od wieków w języku polskim nazywano Szobiszowicami. Miejscowość, gdzie jednak w świetle źródeł zwykle większością była ludność posługująca się językiem czeskim, czy też morawskim, zakładając odrębność mowy morawskiej od języka czeskiego. Z kolei w czeskiej wersji są to Soběšovice. I dość dziwnie komisja standaryzacyjna nazw geograficznych ustaliła akurat, że w tym miejscu nie ma żadnych nazw morawskich. Uznała więc nie Szobiszowice – będąca starą, polską i używaną od zawsze nazwę, tylko Sobieszowice – nazwę czeską, którą

spolszczono. Było to w roku 2012. Napisałem pismo uzasadniające przywrócenie tej prawidłowej nazwy i po pół roku komisja, co było bardzo miłe i przyjemne dla mnie, podjęła odpowiednią uchwałę, dostałem nawet list z podziękowaniami. Cóż to jest za absurdalna sytuacja, że musimy odzyskiwać pojedyncze polskie historyczne nazwy i to w czasach, kiedy już mówimy Mumbai, a nie Bombaj. Takich przykładów jest znacznie więcej.

Chciałbym również w dużym skrócie aspekt niemieckiego negacjonizmu. Przyjąłem takie założenie dzisiejszego wystąpienia, żeby te tezy były bardzo wyraziste, nawet bardziej radykalne, niż w przypadku, gdybym musiał formułować je na piśmie – chciałbym jednak sprowokować pewnego rodzaju dyskusję i refleksję. Jeśli chodzi o literaturę w języku niemieckim, to współcześnie nie za bardzo interesuje się ona terenami dawnego Księstwa Cieszyńskiego. Może to i lepiej. Całkiem niedawno, przed paroma laty wydano historię Śląska pod redakcją profesora Joachima Balkego, gdzie profesor Roland Gerke napisał tekst o Śląsku Cieszyńskim. Można tam przeczytać, że Andrzej Cinciała i Jerzy Cienciała – zwróćcie Państwo na różne nazwiska – są braćmi. Że w roku 1888 Józef Londzin przejął przywództwo Związku Śląskich Katolików razem z redakcją Gwiazdki Cieszyńskiej, a w tym czasie liderem Związku Śląskich Katolików był akurat ksiądz Ignacy Świeży (Józef Londzin na swoją historyczną szansę jeszcze musiał trochę poczekać). Ale nie chodzi tu o prostą faktografię, że popełniono jakąś drobną pomyłkę. Jeżeli jednak ktoś pisze o drugiej połowie XIX wieku na Śląsku Cieszyńskim i przegapia postać księdza Ignacego Świeżego, a poza tym uważa, że Jerzy Cienciała był bratem Andrzeja Cinciały, to świadczy o bardzo dużej nieznajomości literatury przedmiotu. I nie jest to tylko wina autora, który mógł takie rzeczy przegapić, ale świadczy też fatalnie o kompetencjach recenzentów i redaktora tejże publikacji. Jednak rzecz, która skłoniła mnie do opowieści o negacjonizmie, a starajam się śledzić nowszą literaturę w języku niemieckim: to ich sztaampowość. Czyli – Śląsk Cieszyński to region, w którym mieszkaly różne nacje, no a potem przyszyły te nacjonalizmy i się wszystko pozmieniało. Czasami, zwłaszcza z perspektywy osób starszych okazuje się, że wczesne lata 40 były niemal idylliczne – wiadomo, że

dla niektórych ludzi były to lata dzieciństwa, zatem niektórzy mogli mieć właśnie taką perspektywę. Ale rzecz, która mnie skłoniła do użycia słowa negacjonizm, jest lektura, która zaczęła się od hasła na niemieckiej Wikipedii. Poszukując tam informacji na temat osób związanych z naszym regionem, trafiła na biogram księdza Józefa Adameckiego. Może nie jest akurat najgłośniejsze nazwisko w cieszyńskiej historiografii, ale jeżeli robić jakiś barometr polskości rodów na terenie dzisiejszego Zaolzia, to dla Adameckich nie ma skali, ponieważ według tradycji rodzinnej mieli w swoim rodzie powstańca listopadowego, mieli też powstańca styczniowego. I już na gruncie źródeł historycznych pisanych Bernard Adamecki Starszy (tak można go tak nazwać), był jednym z pierwszych polskich aktywnych działaczy narodowych na terenie okręgu frysztackiego i zmarł w 1924 roku. Ponadto Józef Adamecki, wnuk tegoż Bernarda, był Polakiem. Skończył polskie gimnazjum, odbył klasyczną polską edukację – to nie była taka osoba, o której można byłoby główkować: kim on się czuł, bo tutaj jest przecież taki indyferentny region... Nie! Jeśli chodzi o Adameckiego, to był Polakiem i za to, że był Polakiem, zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym. Nagle okazuje się, że został przerobiony na niemieckiego duchownego, będącego ofiarą nazistów. I biogram jest oparty na martyrologium, zawierające listę niemieckich ofiar czasów nazizmu. I można tam odnaleźć też księdza Klemensa Galocza. Rodzina może nie tak spektakularna, jeśli chodzi o ten barometr czy limit polskości, ale też jest to biografia z klasyczną edukacją w polskim szkolnictwie, więc nie ulega wątpliwości, że chodziło o Polaka. I jest to o tyle przykre, zwłaszcza z perspektywy pamięci o tych ofiarach, że osoby, które zginęły za swoją narodowość, po śmierci zostały ograbione właśnie z tej narodowości. Wiadomo, że w każdej historiografii można wskazać jakieś takie słabsze rzeczy i zapewne generalizacja nie jest uprawniona, ale wzbudza to pewnego rodzaju niepokój, jak będzie w przyszłości wyglądać ta narracja.

Rzecz, która wywołuje u mnie o wiele więcej emocji, jest kwestia, którą dość radykalnie nazwałem czeskim nacjonalizmem. Przy lekturze wielu czeskich publikacji odczuwam pewnego rodzaju dysonans, ponieważ kiedy są pisane przez słabych badaczy, to sprawa jest jasna. Natomiast kiedy

naprawdę dobrzy badacze przyjmują jakąś dziwną perspektywę pisania o przeszłości Księstwa Cieszyńskiego, wzbudza to mój niepokój. Zasadą publikacji w języku czeskim na temat miejscowości położonych na terenie dzisiejszego Zaolzia, dotyczących okresu drugiej połowy XIX wieku i początku XX wieku, jest zazwyczaj brak informacji na temat działalności gospodarczej, czy tego, co się działo w danej wiosce. Brak informacji o tym, kto z danej wioski należał do polskich stowarzyszeń, w ogóle do stowarzyszeń. Wszystkie te źródła są drukowane, są sprawozdania, więc to jest zero problemu, to jest pięć minut kwerendy w bibliotece cyfrowej, żeby wypisać ile było osób i kto należał na przykład do Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, czy też do Towarzystwa Naukowej Pomocy Księstwa Cieszyńskiego, czy też do bardziej politycznych organizacji z danej miejscowości. Dużym rozczarowaniem, ale to nie na zasadzie jakiejś takiej wielkiej krytyki, jest najnowsza monografia Czeskiego Cieszyna. W przypadku aneksu, zawierającego historię poszczególnych miejscowości wchodzących w skład organizmu miejskiego po 1920 roku, redaktorzy przyjęli dziwną zasadę, że wszystkie imiona i nazwiska piszą po czesku. Chyba że o kimś można jednoznacznie stwierdzić, że tym Czechem nie był, to wtedy przyjmują wariant polski i sporadycznie niemiecki. Oczywiście, zawsze trzeba przyjąć jakiś sposób generalizacji i obłudnym byłoby twierdzić, że każda pojedyncza osoba powinna zostać przeanalizowana – kiedy sam podejmuje się prac o charakterze syntetycznym, poświęconych Księstwu Cieszyńskiemu, to radykalnie przyjmuję uzus pisania nazw w języku polskim. Jeżeli przegląda się dawną prasę, to ta sama osoba w periodyku niemieckim nazywana jest po niemiecku, w polskim po polsku, a w czeskim po czesku. Dotyczy to nawet osób, które należały do Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego. Pozwolę sobie na przykład z mojej rodziny: mój trzykrotny pradziad Franciszek Lipa był członkiem Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego. W każdym razie, w tych gorących czasach plebiscytowych, przewodził wiecowi w Bobrku pod Cieszynem, w którym ludność opowiedziała się za przynależnością do Polski. I on, kiedy przychodziło podpisanie się pod dokumentem w języku niemieckim, podpisywał się Franz Lipa. Traktując to jako rzecz abso-

lutnie naturalną – bezcelowa jest ta nadinterpretacja, że jeżeli człowiek się podpisał Lippa, to na pewno czuł się bardziej z niemiecka, a skoro się już podpisał Franz, to już w ogóle na pewno ani Franciszkiem ani Franciem się nie czuł. Jednakże, kiedy opowiadamy o czeskim Cieszynie po 1920 roku, oczywiście sam bym pisał po czesku wszystkie nazwy z wyjątkami jednoznacznie potwierdzonymi, z tego względu, że opowiadamy o mieście, które znajdowało się w Czechosłowacji, a dzisiaj w Republice Czeskiej (nie licząc rocznego okresu 38-39 i potem czasu niemieckiej hitlerowskiej okupacji). Ale jeśli chodzi o wioski, które były zamieszkałe, jak pokazują wszystkie źródła topograficzne przez ludność mówiącą w języku polskim, czy też śląsko-polskim dialektem – jak Sibica, jak Mosty koło Cieszyna, jak Koniaków koło Cieszyna (nie mylić z tym słynnym Koniakowem: koło Cieszyna są dwa Koniakowy, jeden w granicach Czeskiego Cieszyna, drugi trochę dalej, koło Istebnej) i jest tam ludność, która mówi o języku polskim, należałoby przyjąć zasadę, że opisywane postaci zapisywane są w tym języku, jakim się posługiwały w 1920 roku. Bo sytuacja z perspektywy czytelnika, czy użytkownika tej książki, polega na tym, że ja odnajduję w książce nazwisko, później muszę dekonstruować to, jak autor je zczeszczył, żeby sprowadzić je do polskiej formy, a następnie dopiero móc jakoś na tym pracować. Kuriozum jest o tyle większe, że rzeczywiście nie przejrano tych sprawozdań członków Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego i osoby, łącznie z bratem mojej prababki, synem tego Franciszka Lipy, który opowiadał się za przyłączeniem Bobruku do odrodzonej Polski, jest w tym opracowaniu zczeszczony. Mnóstwo polskich działaczy, o których istnieje literatura przedmiotu do znalezienia jednym prostym wpisem w wyszukiwarce internetowej, są ujęci jako Czesi. Takie zjawiska można zaobserwować w nieco starszej monografii Trzanowic, gdzie wszyscy radni z końca XIX wieku są wypisani w języku czeskim. Odnalazłem tę listę, odnalazłem tych samych dżentelmenów na łamach Gwiazdki Cieszyńskiej, kiedy zorganizowali składkę na polskie gimnazjum w Cieszynie. Więc to nie jest kwestia tego, że ci ludzie byli jacyś indyferentni. Kluczem powinno być fakt, jakim językiem się posługiwali. Taką smutną ilustracją zabarwionego nacjonalistycznie subtelnego

anachronizmu, jest lista czeskich rodów szlacheckich i nobilitowanych w czasach habsburskich. Czyli pewnego rodzaju herbarz, gdzie pojawia się nazwisko Myrdacz. Jest to nazwisko charakterystyczne, bowiem nobilitację uzyskał w roku 1717 lekarz Paul von Myrdacz. Legenda rodowa głosiła, że przeprowadził operację cesarza Franciszka Józefa. Raczej jej nie przeprowadził, bowiem cesarz zmarł rok wcześniej, a ów Myrdacz dostał szlachectwo za to, że organizował leczenie wojskowe na bardzo wysokim poziomie w monarchii austro-węgierskiej. Paul von Myrdacz znalazł się w gronie tych czeskich rodów tylko dlatego, że jego rodzinna wioska, Końska, w której się urodził w 1847 roku, znalazła się w roku 1919 w granicach Czechosłowacji. Czy można dyskutować, czy Paul von Myrdacz może czuł się Czechem, a może nie miał swojej poczucia tożsamości? Nie – Paweł Myrdacz, bo tak się pierwotnie nazywał, był rok starszy od Jana Kubisa. Chodzili do tej samej szkoły ludowej, a w czasie nauki gimnazjalnej Paweł Myrdacz należał do tajnego Polskiego Stowarzyszenia Młodzieży, za którego, gdyby się dowiedziano o jego członkostwie, to mógł ponieść konsekwencje, łącznie z wydaleniem z gimnazjum, co oznaczałoby faktycznie koniec jego przyszłej kariery. No i ten Myrdacz występuje przypadkowo na tej liście rodów czeskich szlacheckich pod hasłem „Myrdaczowie” tylko z tego względu, że Końska znalazła się za granicą dwa lata później, niż nastąpiła nobilitacja. Jest to już trzeci wątek, który na pewno gdzieś zbudza pewnego rodzaju irytację u mnie.

Czwarty nazwałem roboczo turbosilezianizmem czy turbośląskością – jako neologizm utworzony od określenia turbosłowianie, czym dość złośliwie określa się pewien nurt w polskiej publicystyce zakładający, że kiedyś w czasach starożytnych miało istnieć olbrzymie państwo polskie, tylko jego prawda o nim została ukryta. Nurt ten z powodu lekceważenia akademickich historyków okresu historii ziem polskich w czasach przedmieszkowych zdobył sporą popularność, a wydawnictwo Bellona (korzystając ze swojej marki i pozycji na rynku) wydając pseudonaukowe pozycje, spowodowało w tym obszarze dużo zamieszania. Jeśli chodzi o ten turbosilezianizm, czy turbośląskość, można to określić w ten sposób, że jest stanowi ona odpowiedź na ciasny Rzeczpospolitanizm – je-

żeli bowiem nie ma miejsca dla nas w polskiej historii, to sobie musimy znaleźć własną historię. Co de facto prowadzi do pewnego absurdu, bo są tacy pisarze, którzy urodzili się w Polsce, mają polski paszport, mieszkają w Polsce i piszą po polsku, ale twierdzą obecnie, że nie są wcale polskimi pisarzami. Całkiem możliwe, że tego rodzaju historie będą coraz częstsze. Oczywiście nie można obierać ludziom prawa do decydowania, kim się chcą czuć i jak chcą określać swoją tożsamość, ale można i warto byłoby opowiedzieć, jak to wyglądało w przeszłości, posługując się prawdą historyczną (o ile można użyć takiej kategorii) albo o tym, co wynika ze źródeł – mówiąc bezpiecznie. Taką emblematyczną postacią jest Józef Koźdoń, który nie doczekał się żadnej dobrej biografii. Jest to dość zaskakujące, jeżeli bowiem sprawdzić źródła, to wszystkim ta postać kojarzyłaby się z hasłem „Śląsk dla Ślązaków”. Co jednak istotne, takie hasło można znaleźć również w „Gwiazdce Cieszyńskiej” – ponieważ to, co nazywamy polskim ruchem narodowym, i to, co nazywamy ruchem ślązakowskim, wyrastało z bardzo silnej potrzeby śląskości. Tymczasem turbosilesianizm polega na tym, żeby ze Ślązaków tworzyć jakąś specjalną kategorię i widać to przy dwóch manewrach. Jeden zauważalny jest w pseudonaukowej biografii Józefa Koźdonia, gdzie antagonistą jest Ignacy Świeży – jako kandydat Polaków. Ignacy Świeży stał później na czele czegoś, co nazwano Związkiem Śląskich Katolików. I nagle następuje ten moment, że jeżeli ktoś deklarował się jako Polak, to już automatycznie tracił swój prymat śląskości. Jest dla mnie dziwne, dlaczego Józef Koźdoń jest bohaterem narracji śląskiej, a ksiądz Józef Londzin już nie – a przecież mowa o Ślązaku, również dla Ślązaków zasłużonym. Mamy całą wierchuszkę Ślązaków, dumnych ze swojej śląskości, o pochodzeniu plebejskim. I to też zupełnie stoi wbrew Rzeczpospolitalizmowi z całą swoją modą, dotyczącą chłopomanii i ludomanii, ponieważ w Polsce produkuje się coraz więcej książek na temat chłopstwa. Żadna z nich nie potrafi wyjść chyba poza schemat tego Rzeczpospolitanizmu i dostrzec, że chłopci w Księstwie Cieszyńskim byli trochę inni, lepiej wykształceni i potrafili nawet kreować politykę na poziomie regionalnym, w tym starać się decydować o losach swojej małej ojczyzny. Problem z Koźdoniem wynika tego, że w roku 1939 wiosną był

jednym z trzech polityków, którzy podpisali się pod apelem, żeby przyłączyć Śląsk Cieszyński do III Rzeszy. Faktem jest, że Józef Koźdoń to osoba, która wiosną 1939 roku chciała, żeby Adolf Hitler podbił Śląsk Cieszyński. Żeby Śląsk Cieszyński znalazł się w Rzeszy. I kreowanie go na śląskiego bohatera narodowego ahistorycznie, tylko dlatego, że w pewnym okresie życia ze względów pragmatyzmu politycznego przyjął ostrze antypolskie, jest głębokim nieporozumieniem. Inna sprawa, że był to bardzo zdolny polityk, choć mało mówi się, że w czasach austriackich przyjął zdecydowanie antyczeską postawę, krytykując między innymi Związek Śląskich Katolików za współpracę z Czechami. Aż do czasu, kiedy w roku 1918 i 1919 wyjść na rzecznika przyłączenia dawnego Księstwa Cieszyńskiego do Czechosłowacji. Zupełnie ahistorycznie przylepia się mu tendencje autonomistyczne. Przecież kraj koronny, Śląsk Austriacki cieszył się autonomią, jak wszystkie kraje koronne w dawnej monarchii habsburskiej. Więc kiedy czytam recenzowanie, tak zwane prace naukowe polskich historyków z tytułami, wysokimi szarżami akademickimi, że był to zwolennik autonomii, to ja się pytam, kto to recenzuje, kto to czyta? Nie zapominajmy, że autonomia śląska jest pomysłem głównie zwolenników polskiego ruchu narodowego. To właśnie Józef Buzek uchodzi za ojca chrzestnego statutu organicznego, a mowa o człowieku, który jednoznacznie był związany z polskim ruchem narodowym.

Podsumowując (bo mógłbym iść od szczegółu do szczegółu, a tutaj wypadłoby powiedzieć ogół): występują cztery największe problemy w naszej historiografii – Polski Rzeczpospolitanizm, czyli w ogóle narracja o polskiej historii z wyłączeniem nie tylko Śląska Cieszyńskiego, w ogóle całego Śląska. Niemieckie podejście, oparte (prawdopodobnie też przez barierę językową) na dość słabej znajomości literatury w języku polskim i czeskim. Motyw czechizacji polskich nazwisk w czeskich publikacjach być może stanowi również pewnego rodzaju uzus, powtarzany bezrefleksyjnie przez kolejnych autorów? No i turbośląskość, stanowiąca pewnego rodzaju odpowiedź na tych, którzy wyrzucają ten Śląsk poza nawias. Domyślam się, że najgorzej zobaczyć belkę we własnym oku, że prawdopodobnie też oprócz tych czterech grzechów, które wymieniłem,

jest pewnie jeszcze jakiś piąty, którego mogę nie dostrzegać nawet we własnych publikacjach. Warto jednak pamiętać, że skoro powstaje bardzo dużo publikacji historycznych, to warto w tym całym szumie informacyjnym starać się odsiać ziarno od plew. Tego nie może dokonać jedna czy dwie osoby, tylko taki akt wymagałby podejścia dość krytycznego i jednocześnie etycznego całego akademickiego środowiska naukowego.

Pamięć i tożsamość Śląska Cieszyńskiego

Bardzo często spotykamy się z takim zdaniem, że nie można mówić o teraźniejszości, o przyszłości, kiedy nie będziemy mieć na uwadze przeszłości. Przeszłość jest ogromnie ważna, bowiem właśnie w przeszłości dotykamy naszych korzeni. Każdy region na całym świecie ma swój kod kulturowy. Każdy region na całym świecie ma swoje DNA. I ten kod kulturowy, to DNA, posiada również Księstwo Cieszyńskie – a mówiąc precyzyjnie, od 28 lipca 1920 roku Śląsk Cieszyński.

Ten kod kulturowy obejmuje obszar zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie Olzy. I kiedy tak szperamy, szukamy źródeł, sprawdzamy, gdzie o naszym terenie pojawiają się jakieś dokumenty i wzmianki znajdujemy je w Rzymie. Na przykład ten, kiedy to papież Hadrian II wydał specjalny dokument dla diecezji wrocławskiej – gdzie, zaraz po Wrocławiu, odnotowany jest Cieszyn z całym okolicznym obszarem. I już tutaj widzimy, jak ten nasz obszar jest duży. Co to za obszar? Mowa oczywiście o całym Śląsku. Wielkim terenie, obejmującym ziemię prawie od Berlina, aż po Skalite. To jest prawdziwy fundament, to są nasze korzenie. Należy jednak szperać i sprawdzać dalej, dowiadywać się, co konkretny teren niesie dla dzisiejszego, współczesnego społeczeństwa. Szperanie doprowadzi nas do konkluzji, że ten Śląsk Cieszyński po jednej i drugiej stronie jest Śląskiem wyjątkowym, unikalnym. Wspominam tutaj jednego z najbardziej znanych pisarzy naszej ziemi. Gustawa Morcinka, który właśnie porównał nasz Śląsk Cieszyński do raju. Ale więc do najpiękniejszej ziemi na świecie. Skoro wspominam Gustawa Morcinka, wypada wspomnieć jednego z najwybitniejszych nauczycieli oraz poetów Śląska Cieszyńskiego, jakim był Jan Kubisz. To właśnie on napisał słynne w naszym regionie słowa: „Płyniesz Olzo po dolinie”. To on wyraził w pieśni przekonanie, że ta nasza ziemia jest „Ojcowskim domem”, istnym rajem, darem Ojca Niebiańskiego. „Chociażbyś przeszedł cały świat, nie znajdziesz piękniej-

szego”. To właśnie są słowa, które mówią o naszej tożsamości. O naszych korzeniach.

Bardzo podoba mi się obecny prezydent Republiki Czeskiej. Choć jest zdeklarowanym ateistą, to kiedy wchodził w urząd prezydenta, zaprosił na tę uroczystość przedstawicieli trzech religii. Zaprosił prymasa Republiki Czeskiej, Jana Graubnera. Zaprosił również Przewodniczącą Czeskiej Rady Ekumenicznej, księdza biskupa Tomasza Tyrlika oraz głównego rabina Republiki Czeskiej. W pewnym momencie ich poprosił do siebie, aby pomodlili się. Pomodlili się za niego i mu pobłogosławili na drogę sprawowania urzędu prezydenta. Tak też się stało. Dla wielu postronnych odbiorców był to, można śmiało powiedzieć, szok. Po uroczystości nastąpiło spotkanie z dziennikarzami. I jeden z dziennikarzy na początku pyta:

Panie prezydencie, przecież Pan deklaruje, że jest ateistą. Dlaczego akurat Pan zaprasza na to spotkanie, tak ważne dla naszego narodu, przedstawicieli trzech religii?

On powiedział, proszę Państwa, słowa warte podkreślenia: Otóż nasze narody, Czechy, Morawy i Śląsk i cała Europa ma swoje korzenie judeo-chrześcijańskie. My musimy o tych korzeniach mówić, je szanować, bo kiedy my je odrzucimy, przestaniemy być narodem. Były to ogromnie ważne słowa. Kiedy 28 października było święto narodowe z okazji powstania Czechosłowacji, Pan prezydent uhonorował po śmierci orderem pierwszej klasy Masaryka, papieża Jana Pawła II. Jako przykład człowieka, który walczył o wolność naszych narodów. Tak powiedział, tak motywował to prezydent Pavel. Ma on świadomość, jak ważna jest pamięć. Bez pamięci, bez przeszłości to my daleko nie zajedziemy. Wprowadzimy postęp technologiczny człowieka. Służy nam sztuczna inteligencja. Wystarczy teraz wejść chociażby na stronę sztucznej inteligencji i zapytać o Zaolzie. Otrzymamy pełny tekst w ciągu kilku sekund. Ale ten tekst też jest wywołany i zdeterminowany przeszłością. Bo powstał bazując na hasłach, które przecież już istnieją. Wspomniałem dzisiaj o tych tradycjach judeo-chrześcijańskich, ponieważ są ogromnie ważne dla naszego terenu. Wróćmy więc do dziewiątego stulecia.

Dziewiąte stulecie jest ogromnie ważne dla krajów Europy środkowo-wschodniej. Na tych terenach, obejmujących dzisiejszą Słowację, Morawy, Śląsk i część jeszcze Małopolski istniało Wielkie Państwo Morawskie pod opieką księcia Roścysława, który dbał o swój lud. Dbał również o rozwój duchowy. Tutaj społeczeństwo porozumiewało się ze sobą, ale nie miało jednak swojego alfabetu. Rościsław zwraca się więc do Rzymu, do papieża. Z prośbą, żeby ktoś tu przyjechał, z osób duchownych, znających język słowiański. Nikogo nie znaleźli podpowiedzieli więc, aby zwrócić się z tą prośbą do Bizancjum. Rościsław pojechał. Metropolita go przyjął. I wskazał na dwóch wspaniałych braci. Na Konstantyna, filozofa, mądrego człowieka i Metodego – jego brata. Bracia umieli po słowiańsku, ponieważ w okolicy ówczesnych Tesalonik żył ogromna liczba – tak jak podają źródła publiczne – około 15 tysięcy Słowian. W tych Tesalonikach była wyższa szkoła oficerska. W niedzielę oficerowie mieli dzień wolny, więc żołnierze wychodzili na spacer, na przechadzkę. Wychodzili poza miasto, wychodzili do ludzi, a wiadomo: „Za mundurem panny sznurem!”. I też jednej tej dziewczynie spodobał się pewien oficer. Zaczęła działać i to całkiem skutecznie. Pobrali się i z tego małżeństwa urodzili się między innymi Konstantyn, który przyjął tuż przed śmiercią w Rzymie imię Cyryl oraz Metody. Ich matka mówiła po słowiańsku, więc w domu mówiono i po słowiańsku i po grecku. Metropolita bizantyjski poprosił ich, żeby zrobili alfabet. Oni ten alfabet zrobili. To właśnie dzięki nim mamy alfabet słowiański. Ten alfabet słowiański, który przynieśli tutaj, na Morawy. Do Velehradu. Alfabet posłużył do tego, żeby stworzyć księgi liturgiczne w języku słowiańskim. Bracia przetłumaczyli również Pismo Święte. Przetłumaczyli też prawo. Ale oni chcieli tkwić w ortodoksji, udali się więc do Rzymu, żeby papież Hadrian IV popatrzył na księgi liturgiczne. I tak poprosili go o ich zatwierdzenie. Papież zatwierdził. Było to wydarzenie bez precedensu, ponieważ – do tej pory – były tylko dwa języki liturgiczne: najpierw greka, potem łacina. I jako trzeci pojawił się nasz język słowiański! W zestawieniu trzech liturgicznych języków! Język słowiański, alfabet słowiański, który przynieśli Konstantyn, Cyryl i Metody jest fundamentem języka czeskiego, słowackiego, polskiego, rosyjskiego.

Bez alfabetu nie ma kultury. I znów powołam się na mądrość pierwszych rządców Czechosłowacji. Bo kiedy Czechosłowacja powstaje, to doceniono Cyryla i Metodego. I utworzono 5 lipca Święto Narodowe, które świętowane jest w Czechach do dziś. I słusznie, bo Cyryl i metody poprzez język dali podwaliny do tworzenia kultury.

Wypada też wspomnieć o kolejnym twórcy literackiego języka. Był nim Jan Hus – co ciekawe na początku Czechosłowacji utworzono święto Jana Husa. Te rzeczy świadczą o naszej przeszłości. Naszej, czyli krajów Europy środkowo-wschodniej. Wiemy, że Księstwo Cieszyńskie powstaje w 1290 roku. Mieliśmy znakomitych władców tej ziemi. Ale równocześnie mieliśmy religię, która tworzyła kulturę. Bo wiadomo, że przy kościołach tworzone kultury. Na początku to jest wyznanie rzymskokatolickie. Język słowiański. Później, na początku szesnastego stulecia, wchodzi luteranizm, który w pewnym sensie wyprzedził Sobór Watykański II. Pod jakim względem? Bo dopiero na wspomnianym soborze stwierdzono: „Nie będziemy odprawiać po łacinie. Bo ludzie tego nie rozumieją”. A Luter tłumaczył Pismo Święte na język niemiecki po to, żeby ludzie zrozumieli modlitwy. Do rozwoju kulturowego naszego regionu przyczynili się również jezuita. Pierwszych dwóch jezuitów mamy w Cieszynie już 21 grudnia 1610 roku. Z biegiem lat on powoli tutaj przybywali, przybywali: aż wreszcie, pod koniec szesnastego stulecia, powstają pierwsze kolegia jezuickie. Dzięki temu mieliśmy tutaj wykształconych ludzi. Jezuitą był Leopold Szersznik, dzięki któremu mamy w 1802 roku drugie w Europie muzeum. Mamy Książnicę Cieszyńską, jego doskonałe zbiory. Szersznik był nie tylko teologiem, filozofem. Był również astronomem. Tych wielkich postaci było tutaj znacznie więcej.

Gdyby jednak teraz ktoś zadał mi pytanie: jaką postacią dzisiaj może się Cieszyn, Śląsk Cieszyński pochwalić? Dla mnie, taką wybitną postacią jest nieżyjący już, były doradca prezydenta Reagana, Richard Pipes. To między innymi on przyczynił się do tego, że w 1981 roku w grudniu wojska radzieckie nie spacyfikowały Polski. Był jednym z najwybitniejszych znawców historii Europy środkowo-wschodniej i Rosji. Richard Pipes w 1994 roku w maju otrzymuje tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu

Śląskiego w Cieszynie. Bierze udział w tej uroczystości, utożsamia się z miastem, choć jeszcze jako dziecko wyjechał z rodzicami ze Śląska Cieszyńskiego. W autobiografii zatytułowanej „Żyłem” pisze sporo o Cieszynie, jest to piękna lektura. Dowiemy się z niej o życiu osobistym, rodzinnym, ale i o tym, co działo się w Europie, na świecie. On był dumny z tego, że urodził się w właśnie w Cieszynie. I tam pisze coś w tym stylu: Kiedy ja bawiłem się na podwórku, to tam byli katolicy, byli luteranie, więc już jako dziecko nauczyłem się tolerancji, szacunku i akceptacji drugiego człowieka. To właśnie jest Nasze Dziedzictwo. O tym dziedzictwie nie wolno zapomnieć. To dziedzictwo należy ukazywać i chwalić się nim!

Początki ruchu socjaldemokratycznego na Śląsku Cieszyńskim

Jak na historyka przystało, zacznę od przysłowiowego Adama I Ewy. Zarysuję więc szeroki kontekst omawianej sprawy.

Wiek XIX to okres, w którym rozwój przemysłu i kapitalizmu doprowadził do wytworzenia się nowoczesnego społeczeństwa masowego. I pojawiły się wówczas dwie konkurencyjne idee, dwie konkurencyjne koncepcje modernizacji społeczeństwa. Z jednej strony horyzontalna, która chciała ujednolicić to społeczeństwo na bazie jednej klasy. Z drugiej strony wertykalna, która chciała stworzyć to nowoczesne masowe społeczeństwo, jako w przekroju pionowym, łącząc różne klasy. Mówimy tu oczywiście o nacjonalizmie i socjalizmie. Obie te ideologie, występowały w wersjach zarówno fundamentalistycznych, jak i bardziej kompromisowych. W tych ujęciach fundamentalistycznych te tożsamości były absolutnie wykluczające. A więc jeśli było się Polakiem, no to już nie można było być robotnikiem, w każdym razie to być robotnikiem nic nie znaczyło. Albo odwrotnie: z kolei bycie robotnikiem wykluczało jakiejkolwiek tożsamości, ale były też wersje bardziej kompromisowe. Wersje, które próbowały jakoś pogodzić te sprzeczne tożsamości. I proszę Państwa, z biegiem czasu właśnie te stawały się najbardziej popularne. W każdym razie, podkreślę jeszcze raz, obie te ideologie miały wspólny cel: modernizację. Nacjonalizm nie był wówczas ruchem reakcyjnym, tylko był alternatywą dla socjalizmu wizją modernizacji. Chodziło o wciągnięcie biernych do tej pory mas w obręb życia społecznego, w obręb kultury politycznej. Te kwestie tego przenikania się i konkurencji nacjonalizmu i socjalizmu najciekawiej występowały w państwach wielonarodowych, a z kolei takim klasycznym państwem wielonarodowym, była w tymże XIX wieku monarchia austro-węgierska. Przyjrzyjmy się więc, jak wyglądał ruch robotniczy w monarchii austro-węgierskiej, czyli ci aktorzy, z którymi będziemy się w dalszej części wykładu spotykali.

Szczególną rolę w socjaldemokracji na terenie Austro-Węgier odgrywali Czesi. Czeskosłowacka Partia Socjaldemokratyczna powstała już w 1878 roku, podczas gdy ogólnoaustriacka Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Austrii, powstała dopiero 10 lat później. I w obrębie tej ogólnoaustriackiej partii, partia czeska zachowała daleko idącą autonomię: na przykład Czesi wysłali własną delegację na kongres założycielski II Międzynarodówki. Przy czym Czesi początkowo odcinali się od tak zwanego programu historycznego, który zakładał budowę państwa czeskiego w granicach historycznych, czyli tak zwanych krajów Korony Świętego Wacława, co swoją drogą spowodowało rozłam i pojawienie się Czeskiej Partii Narodowo-Socjalistycznej. W 1897 roku ta ogólnoaustriacka socjaldemokracja przeżyła fundamentalną reformę. Doszło bowiem do jej federalizacji. Przekształciła się w federację partii narodowych. Powstały niemiecko-austriacka, czeska, polska, jugosłowiańska, włoska i po pewnym czasie powstała szóstą, czyli ukraińska o charakterze narodowym.

Ten krok, który miał pozwolić na złagodzenie sporów narodowościowych, wręcz je dodatkowo zaognił. Dlaczego? Otóż pojawił się problem – jak rozumieć zasadę narodowościową, czy w sposób terytorialny, czy w sposób etniczny? Socjaldemokraci austriacko-niemieccy opowiadali się za zasadą terytorialną, czyli że na terenie danego kraju koronnego, tej tak zwanej przedlitawii, czyli austriackiej części monarchii, ma istnieć jedna partia skupiająca robotników różnych narodowości. Natomiast socjaldemokraci czescy opowiadali się za zasadą etniczną, zgodnie z którą socjaldemokracja czeska miała działać wszędzie tam, gdzie byli czescy robotnicy. A więc na przykład zakładali swoje organizacje w Wiedniu czy w Trzebini, ponieważ tam pojawiały się te czeskie załogi robotnicze. Doprowadziło to do rozłamu wśród czeskich socjaldemokratów. W 1911 roku od tej Czeskosłowackiej Socjaldemokratycznej Partii robotniczej odrywa się tak zwana Czeska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza, zwana potocznie centralistami, podczas gdy ta pierwsza była potocznie nazywana autonomistami. Różnica polegała na tym, że autonomiści byli bardziej narodowi, opowiadali się właśnie za tą zasadą etniczną budowania socjaldemokracji, natomiast centraliści byli bardziej internacjonalistyczni.

Przy czym proporcje pomiędzy nimi były bardzo nierównomierne. Centraliści skupiali zaledwie około 10 tysięcy członków, podczas gdy partia autonomistów, tych bardziej narodowych socjaldemokratów, skupiała ich 144 tysiące. Podobne były proporcje, jeśli chodzi o wyniki wyborcze. Widać tutaj było, że autonomiści bardzo wyraźnie dominowali nad czeskimi socjaldemokratami.

Jak w tym skonfliktowanym ruchu socjaldemokratycznym Austrii odnajdywała się polska socjaldemokracja? Więc tutaj początków należy szukać w roku 1890, kiedy powstała Galicyjska Partia Robotnicza. Zwracam Państwa uwagę na nazwę. Ta partia początkowo odwoływała się do zasady krajowej, to znaczy miała to być regionalna partia skupiająca socjaldemokratów z terenu Galicji. Ale bardzo szybko przeszła ona proces unarodowienia. O ile jeszcze w momencie zakładania tej Galicyjskiej Partii Robotniczej Ignacy Daszyński toczył ostre polemiki z polskimi narodowymi socjalistami, to już w roku 1891 na bodajże brukselskim kongresie drugiej międzynarodówki, polscy socjaldemokraci z Galicji stworzyli wspólną delegację z polskimi socjalistami z pozostałych zaborów, podkreślając w ten sposób znaczenie ponadzaborowej więzi narodowej. Daszyński zaczął mówić, że Polacy żyją w Austrii nie tylko w Galicji, co zapowiadało, że ta polska socjaldemokracja zamierza działać na zasadzie etnicznej, rozszerzając się również poza Galicję, właśnie wszędzie tam, gdzie ci polscy robotnicy się pojawiają. I to, proszę Państwa, doprowadziło do rozłamu tej partii, która już wówczas nosiła nazwę Socjaldemokratycznej Partii Galicji, czy też Galicyjskiej Partii Socjalno-demokratycznej.

Około 1895 roku odrywają się struktury lwowskie, które stworzyły partie tak zwanych niezależnych. Środowisko lwowskie było wielonarodowe, tam robotnicy polscy i ukraińscy, czy socjaldemokraci polscy i ukraińscy współdziałali i dlatego ci socjaldemokraci niezależni byli bardziej internacjonalistyczni, odrzucali jakiegokolwiek kwestie narodowe. Ta grupa okazała się bardzo efemeryczna, szybko się rozsypała, co otworzyło drogę do dalszego, oficjalnego unarodowienia socjaldemokracji w Galicji, która w 1897 roku podjęła decyzję o zmianie nazwy na Polską Partię Socjalno-Demokratyczną Galicji i Śląska. Tutaj na moment zatrzymajmy się przy

tej nazwie. Zwracam uwagę, że to była partia Galicji i Śląska, nie Śląska Cieszyńskiego, jak to nawet często w źródłach naukowych się pojawia, ponieważ właśnie polscy socjaldemokraci nie zamierzali ograniczać się tylko do pracy na Śląsku Cieszyńskim, zamierzali pracować wszędzie tam, gdzie byli polscy robotnicy, a więc w całym Zagłębiu Karwińsko-Ostrawskim, jak również na pograniczu morawskim. Żeby zachować precyzję: o ile w 1897 roku ta decyzja faktycznie zapadła, to dopiero dwa lata później, po utworzeniu Ukraińskiej Partii Socjaldemokratycznej, zaczęto oficjalnie tej nazwy PPSD używać.

Jaki był stosunek PPSD do kwestii narodowej? Należy zauważyć, że mocno się zmienił. PPSD, czy wcześniej ta Galicjska Partia Robotnicza, zaczynały z pozycji wyraźnie internacjonalistycznych. Nie wysuwało początkowo programu niepodległościowego – warto zwrócić uwagę, że tak poastawa stawiałaby ją na pozycjach zupełnie antypaństwowych, wywrotowych w Austro-Węgrzech. PPSD popierała natomiast program niepodległościowy Polskiej Partii Socjalistycznej w odniesieniu do zaboru rosyjskiego. Sprzeciwiała się też wysuwanemu przez pozostałe partie polskie hasłu wyodrębnienia Galicji w celu przekształcenia Austro-Węgier w monarchię trialistyczną, trójczłonową, ponieważ obawiała się, że ta zacofana, półfeudalna Galicja stanie się po prostu takim bastionem reakcji. W obrębie ruchu socjaldemokratycznego, Polska Partia Socjalno-Demokratyczna bardziej sprzyjała stanowisku socjaldemokratów niemiecko-austriackich, to znaczy sprzeciwiała się federalizacji, obawiając się, że te poszczególne krajowe partie socjaldemokratyczne będą zbyt słabe, przynajmniej w przypadku socjalistów polskich będą zbyt słabe, żeby sobie radzić w pojedynkę, ale zarazem opowiadała się za tą właśnie zasadą etniczną, jak już wspomniałem, czyli za tym, żeby polscy socjaldemokraci działali wszędzie tam, gdzie występują polscy robotnicy.

Przejdźmy już do samego Śląska Cieszyńskiego. O ile cała monarchia austro-węgierska jest pod tym względem bardzo ciekawa, to Śląsk Cieszyński jest regionem wyjątkowo ciekawym, nawet na tym tle, ponieważ z jednej strony jest to region mocno uprzemysłowiony, a więc z liczną klasą robotniczą, a po drugie z wyjątkowo skomplikowanymi stosunkami

etnicznymi. Mamy tu do czynienia z bardzo wyraźnym podziałem, przede wszystkim pomiędzy Niemcami a ludnością, która początkowo była określana po prostu mianem słowiańskim. Pamiętajmy, że tutaj mamy w XIX wieku pewne kontinuum językowe, rozciągające się od gwar laskich języka czeskiego, po dialekt małopolski. Mniej więcej od 1748 roku podręczniki morawskie były zastępowane podręcznikami polskimi, co pokazywało, że bliżej jest tutaj, bliżej ludności jednak w obrębie tego kontinuum do języka polskiego. Ale z pewnym opóźnieniem zaczęło się pojawiać to zróżnicowanie ludności słowiańskiej na Polaków i Czechów. W każdym razie mamy do czynienia z tymi trzema grupami narodowościowymi. Do tego, proszę Państwa, mamy podział o charakterze wyznaniowym. Oprócz większości katolickiej mamy liczną i aktywną mniejszość ewangelicką. Mniejszość, która pozostaje w konflikcie z katolikami, co prowadziło nie raz do zaskakujących sojuszy, na które zwrócę uwagę w dalszej części mojej wypowiedzi. Jest też trzecia płaszczyzna konfliktu, pomiędzy ludnością napływową a autochtoniczną. Uprzemysłowienie spowodowało, że napływało do Śląska Cieszyńskiego wielu imigrantów, przede wszystkim z Galicji. To wywoływało antagonizmy i to powodowało, że część polskojęzycznych ewangelików zaangażowała się w ruch separatystyczny, w ruch ślązakowski animowany przez Józefa Koźdonia. Ale to wcale nie znaczyło, że to ci autochtoni stronili od Polskości, ponieważ akurat paradoksalnie to ci imigranci z Galicji byli najbardziej podatni na czechizowanie. Oni najłatwiej ulegali wynarodowieniu i przyjmowali czeską kulturę. W tym, że zagłębił Ostrawsko-Karwiński.

Mamy więc do czynienia z bardzo ciekawym regionem, bardzo ciekawym problemem. I dlatego zastanawiające jest, że brakuje właściwie opracowań na ten temat. Bardzo dobra monografia Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Walentyny Najdus, o Śląsku wspomina tylko, na marginesie, są to rozsypane wzmianki. Najwięcej informacji możemy znaleźć w niepublikowanym doktoracie Stanisława Orłowskiego, który dotyczy stosunków pomiędzy polską i czeską socjaldemokracją w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim. Ale obejmuje tylko część regionu Śląska Cieszyńskiego. Tak więc temat jest de facto dziewiczy i wart opracowania.

Po przydługim, ale istotnym wstępie, możemy już teraz przejść do opisu, jak rozwijał się ruch robotniczy na terenie Śląska Cieszyńskiego. Rozwój determinowała uchwała Ogólnoaustriackiej Partii Socjalno-Demokratycznej z roku bodajże 1892, zgodnie z którą na terenach miesza-nych narodowościowo mogły prowadzić swoją działalność różne partie socjalno-demokratyczne, a więc w przypadku Śląska Cieszyńskiego mo-gła to być zarówno socjaldemokracja polska, jak i czeska. I tak też to wy-głądało. Rozwój ruchu socjaldemokratycznego na Śląsku Cieszyńskim był dwutorowy. Z jednej strony to był ośrodek czeski, z drugiej strony ośrodek polski. Ośrodek czeski wiąże się z postacią, który w roku 1893 założył Towarzystwo Prokop. Jako ciekawostkę można powiedzieć, że jego nazwa wzięła się od świętego Prokopa, czeskiego patrona górni-ków. Dość ciekawa nazwa jak na socjalistyczną organizację. Organizacja ta zdominowana była przez Czechów, ale miała charakter ponadnardo-wy. Z tym, że wśród polskich górników nie miała zbyt dużego poparcia ze względu na barierę językową. Prokop dość lekceważąco odnosił się do polskich górników, a więc na przykład nie tłumaczył na język polski statutów i regulaminów, nie prenumerował polskiej prasy socjaldemo-kratycznej. I to otwierało drogę dla działań polskich socjaldemokratów. Pierwszych agitatorów Galicyjska Partia Socjaldemokratyczna zaczęła wysyłać w roku 1892 na Śląsk Cieszyński, ale to były takie, powiedzmy, niedzielne wycieczki. Ta praca ruszyła w sposób systematyczny w roku 1894, gdy na Śląsk Cieszyński sprowadza się, osiedlając się we wsi Poręba, Tadeusz Reger. Wokół Regera skupia się grupa około 20-30 górników pol-skojęzycznych, Polaków, autochtonów i to jest to załazek polskiego ruchu socjaldemokratycznego, którego ukoronowaniem jest rok 1897. W tymże roku zaczyna się ukazywać polskie socjalistyczne czasopismo „Równość”, konstituuje się komitet okręgowy, czy też obwodowy dla Śląska Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, a sam Reger reprezentuje na Kongre-sie Socjaldemokratycznym Śląsk Cieszyński. I od tego momentu właśnie mamy do czynienia z rozwojem organizacyjnym Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej. Na Śląsku odbywał się on stopniowo. Dopiero w roku 1906, dokładnie w marcu, miała miejsce pierwsza konferencja śląska

obwodu, który nosił oficjalnie nazwę Obwodu Śląska i Pogranicza Moraw, co pokazywało jego zakres terytorialny. Dysponował około dziesięcioma komitetami powiatowymi. Znajdowały się one, między innymi, w Polskiej Ostrawie, Morawskiej Ostrawie, Cieszynie, Trzyńcu, Bielsku... W 1908 roku polska socjaldemokracja na tym terenie liczyła około stu grup miejscowych, skupiających około dwa tysiące członków. Potem ta liczba trochę spadła, gdyż przed samym wybuchem wojny było to pięćdziesiąt grup miejscowych. Jest to jednak świadectwem autentycznego zakorzenienia tego ugrupowania. Organem Polskiej Partii Socjaldemokratycznej na tym terenie było wydawany od 1904 roku w Cieszynie pismo „Robotnik Śląski”. Natomiast taką organizacją o charakterze masowym, głównie prowadzącą działalność kulturalno-światową i sportową było utworzone w 1908 roku Stowarzyszenie Siła, o którym jeszcze potem sobie wspomnimy. Tak więc mamy do czynienia z sytuacją, w której na tym samym, stosunkowo niewielkim obszarze, występują różne partie socjaldemokratyczne.

Jak wyglądały stosunki pomiędzy nimi? Otóż początkowo mamy do czynienia z wręcz wzorcową współpracą o charakterze internacjonalistycznym. Zarówno Cingr, jak i ściśle współpracujący z nim Reger byli zwolennikami jednolitej zawodowej organizacji robotniczej. No i tutaj się pojawiały różne pomysły jak taką organizację stworzyć. Najpierw były pomysły na to, żeby Prokopa rozszerzyć na Galicję i w tym momencie tenże Prokop straciłby ten swój czeski charakter. Na to nie zgodziły się władze namiestnikowskie w Galicji. Wówczas pojawia się więc druga koncepcja i w około 1901 roku powstaje tak zwana pierwsza „Siła”. Organizacja o charakterze zawodowym skupiająca głównie polskich robotników, ale również środowiska internacjonalistyczne, bo na przykład Cingr również był w kierownictwie „Siły”. Socjaldemokraci stworzyli tutaj tak zwany robotniczy związek wyborczy, którego celem była przede wszystkim walka o powszechne prawo wyborcze. Przypominam, że wówczas w Austro-Węgrzech jeszcze obowiązywały tak zwane wybory. I po sukcesie, jakim było przyznanie tych powszechnych praw wyborczych, tenże robotniczy związek wyborczy działał na rzecz zwycięstwa kandydatów socjaldemokratycznych. Agitował tutaj za nimi. Bardzo charakterystyczny moment,

to wybory roku 1907. Otóż socjaldemokraci różnych ugrupowań zdobyli wówczas cztery mandaty z przysługujących Śląskowi Cieszyńskiemu siedmiu mandatów. Z tego było dwóch socjaldemokratów czeskich i dwóch polskich. Po raz trzeci został posłem Cingr. Drugim tym czeskim socjaldemokratą był Pospiszil. Natomiast nas bardziej tutaj interesują ci polscy socjaldemokraci – wybory wygrywa Tadeusz Reger, który się swojego mandatu zrzeka. Ponieważ nie udało się wygrać w tychże wyborach w Krakowie Daszyńskiemu, to Reger zrzeka się tylko po to, żeby Daszyński mógł wystartować w powtórzonych wyborach. I teraz Daszyński wygrywa wybory. Ten fakt obrazuje zakorzenienie polskich socjaldemokratów – nie chodziło wcale o głosowanie na człowieka, nie chodziło tylko i wyłącznie o osobistą popularność Regera. Po prostu głosowano na kandydata tej właśnie partii. A jeszcze ciekawsza była sytuacja w okręgu bielskim, gdzie głosy polskie były rozbite pomiędzy Związek Śląskich Katolików, a bardziej ewangelickie Polskie Stronnictwo Narodowe. I ponieważ doszło tam do drugiej tury, to Polskie Stronnictwo Narodowe wezwało swoich wyborców (zgodnie z porozumieniem), żeby zagłosowali na kandydata Związku Śląskich Katolików. Ale okazało się, że większość ewangelików wolała zagłosować na kandydata socjalistycznego i ku powszechnemu zaskoczeniu wybory wygrywa socjalista Kunicki.

To zdobycie większości mandatów z tego obszaru pokazuje siłę ruchu socjaldemokratycznego na Śląsku Cieszyńskim. Nastomiast ściśle współdziałanie wynikało z faktu, że wszystkie ugrupowania socjaldemokratyczne zgodnie potępiały szowinizm i polscy socjaldemokraci mogli liczyć początkowo na poparcie socjaldemokratów czeskich w walce o polską szkołę. Tutaj oczywiście były sprawy dość zniuansowane. Na przykład socjaldemokraci nie mieli wątpliwości, że socjaliści niemieccy na Śląsku Cieszyńskim za bardzo się nie liczyli, mieli słabą pozycję i to powodowało być może bardzo ugodowe nastawienie do współpracy z Polakami. Na przykład równość zaczęła się ukazywać dzięki pomocy, jaką socjaldemokrata niemiecki Ulbricht dał Regerowi. Ale również w przypadku socjaldemokratów czeskich występowali oni przeciwko przymusowej czechizacji, popierali te polskie postulaty językowe, krytykowali zasadę prawno-hi-

storyczną, czyli budowy państwa czeskiego obejmującego Śląsk Cieszyński z powodów historycznych.

W 1909 roku miała miejsce konferencja w Boguminie, w której socjaldemokraci różnych narodowości podjęli uchwałę. Stwierdzali w niej, że każda narodowość ma prawo do własnej szkoły i dążenie do własnej szkoły nie jest bynajmniej żadnym szowinizmem. W rezultacie mamy na Śląsku Cieszyńskim, a właściwie jego północnej części (Zagłębie Karwińsko-Ostrawskie) do czynienia z dość wyjątkową w skali Europy sytuacją. W 1907 roku został utworzony międzypartyjny, polsko-czeski komitet porozumiewawczy. Taka komisja arbitrażowa, która miała rozstrzygać sprawy sporne pomiędzy polską i czeską partią socjaldemokratyczną. Potem dołączyli do tego socjaldemokraci niemieccy i w ten sposób pojawiła się tzw. Międzynarodówka Ostrawska w 1911 roku, która – co ciekawe – obradowała w Domu Polskim w Ostrawie, co też jest swego rodzaju symbolem.

Jak dotąd ta historia wygląda jak z podręczników historii ruchu robotniczego pisanych w latach 50., gdzie mamy wzorcową współpracę robotników różnych narodowości na bazie internacjonalistycznej, ale oczywiście sprawa była bardziej skomplikowana, ponieważ w miarę upływu czasu następuje unarodowienie tych partii socjaldemokratycznych. Reger od początku zajmował stanowisko niepodległościowe. Już w 1899 roku twierdził, że naród polski ma prawo zajęcia miejsca wśród narodów świata jako naród wolny i niepodległy. W konsekwencji takiego stanowiska opowiadał się za istnieniem odrębnej polskiej organizacji socjalistycznej. Proszę zwrócić uwagę na ten fakt: o ile był za tym, żeby były jednolite, ponadnarodowe związki zawodowe, to jeśli chodzi o partie polityczne, już bardzo wyraźnie stał na gruncie odrębności polskich socjaldemokratów, odrębności polskiego ruchu robotniczego. W ciekawy sposób polscy socjaldemokraci podchodzili do tradycji narodowej. To było podejście bardzo selektywne. Większość tej polskiej tradycji historycznej była potępiana jako szlachecka i klerykalna, ale odnajdywano tam właśnie takie elementy związane przede wszystkim z polskimi rewolucjonistami, do których się odwoływano. I tutaj było bardzo ciekawe podejście do postaci Kościuszki, który początkowo był krytykowany jako reformista,

ale potem zaczęto go właśnie uważać za symbol, który potrafi harmonijnie połączyć sprawę walki o wyzwolenie narodowe i społeczne Polski. No i w praktyce takie podejście łączące socjalizm z sentymentem narodowym przejawiało się w walce o polski język urzędowy na Śląsku Cieszyńskim i o polską szkołę. Polscy socjaldemokraci domagali się na przykład, żeby gimnazjum polskie w Cieszynie zostało upaństwowione. Czyli – po prostu – żeby państwo przejęło je na swoje utrzymanie, żeby ta szkoła uzyskała status oficjalny. Walczyli o zakładanie polskich szkół wszędzie tam, gdzie była polska ludność. Co za tym idzie, oczywiście w sposób bardzo krytyczny odnosili się do wspomnianego przeze mnie wcześniej separatyzmu śląskiego. Tutaj kpili na przykład, że pewnie niebawem zwolennicy Koźdonia wymyślą narodowość skoczowską i język sibicki. Krótko mówiąc, zbliżali się wyraźnie polscy socjaldemokraci do tego głównego nurtu polskich partii narodowych i widać było, że stopniowo są przez te inne partie polskie akceptowani. Takim punktem przełomowym była konferencja we Frysztacie w 1901 roku, w której polscy socjaldemokraci nie tylko wzięli udział, ale również podpisali się pod uchwałą, która przestrzegała przed czechizacją polskiej ludności. To było zajęcie już wyraźnie narodowego stanowiska, odcięcie się od wcześniejszego podejścia, że kwestie narodowe nie mają większego znaczenia. I to stanowisko było dostrzegane i doceniane przez pozostałe polskie partie. Widać było, że socjaldemokraci są wciągani do ponadpartyjnych polskich partii, polskich struktur. Socjaldemokraci, przedstawiciele Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej, najpierw znaleźli się w zarządzie polskiej Macierzy Czkolnej, następnie w 1912 roku Kunicki zostaje członkiem zarządu Towarzystwa Szkoły Ludowej, na tym tle dochodzi do rozłamu i Związek Śląskich Katolików z kolei na znak protestu występuje. Widać jednak, że socjaldemokraci już nie są traktowani jako ci odstępcy, jako renegaci, tylko pełnoprawne polskie ugrupowanie polityczne.

Oczywiście najbliższe było socjaldemokratom z Austro-Węgier do Polskiej Partii Socjalistycznej po 1904 roku. Ta współpraca się bardzo zacieśnia i praktycznym tego efektem było tworzenie na bazie wspomnianej przeze mnie wcześniej „Siły” struktur „Strzelca”, czyli już organizacji

o charakterze paramilitarnym, która swoją rolę odegrała niebawem. Żeby było jasne, nie wszyscy członkowie Polskiej Partii Socjalno-demokratycznej zgadzali się na ten narodowy dryf swojego ugrupowania. Oprócz tego nurtu, nazwijmy to socjapatriotycznego, reprezentowanego przez Regera, była też lewica o charakterze bardziej ortodoksyjnym, internacjonalistycznym, na czele której stał Emanuel Chobot, o którym też jeszcze potem będziemy sobie wspominali. Ta sytuacja, w której zarówno polscy, jak i czescy, dodajmy też niemieccy socjaldemokraci ulegają unarodowieniu, gdy pogłębiają się wśród socjaldemokratów sentymenty narodowe, nieuchronnie prowadzi do konfliktów. W latach 1905-1906 dokonał się ostateczny podział struktur socjaldemokratycznych, również w Zagłębiu Ostrawsko-Karwińskim, na trzy grupy narodowe. Od tej pory na tym terenie już osobno działają partie czeska, polska i niemiecka. Natomiast od 1910 roku, czy właściwie po 1910 roku zaczyna się już otwarty konflikt pomiędzy polskimi i czeskimi socjaldemokratami, przy czym mówiąc o czeskich, mam przede wszystkim na myśli to stronnictwo autonomistów. W 1910 roku ma miejsce na Śląsku Cieszyńskim spis powszechny, który wykazuje wyraźny, gwałtowny spadek procentu ludności polskiej, który schodzi poniżej 60%. I dość zgodnie polska opinia publiczna obciąża winą za ten wynik czechizacyjne działania czeskiej inteligencji technicznej. Chociaż w administracji bardzo często przeważali Niemcy, to jednak tę kadrę inżynieryjno-techniczną na kopalniach Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego stanowili Czesi i właśnie ci Czesi mieli na przykład wymuszać na polskich robotnikach (często analfabetach, którzy świeżo przybyli z Galicji, dość indyferentnych narodowo) posyłanie swoich dzieci do czeskich szkół, prenumerowanie czeskiej prasy i tak dalej. Zostało to uznane za działania dyskryminujące i czechizacyjne, zatem polscy posłowie socjaldemokratyczni złożyli interpelację w tej sprawie i spotkała się ona z polemiką ze strony czeskich socjaldemokratów.

Widać już polaryzację socjaldemokracji, która zajmuje takie stanowisko, jak te pozostałe partie w swoim obozie narodowym. Tak jak polscy socjaldemokraci współpracowali z niesocjalistycznymi polskimi partiami, to samo zauważyć można wśród tych czeskich socjaldemokratów au-

tonomistów. I ten konflikt z autonomistami ma charakter wielopłaszczyznowy – czescy socjaldemokraci zaczęli głosować przeciwko tworzeniu polskich szkół. Na przykład, bodajże w Pietrzwaldzie, była taka sytuacja, w której wystąpili przeciwko tworzeniu polskiej szkoły, co było wyraźnym zerwaniem z wcześniejszą praktyką.

Innym problemem była kwestia zakładania tych czeskich związków zawodowych. W sytuacji, gdy powstaje w miejsce jednolitego, ponadnarodowego związku zawodowego etnicznie czeski związek narodowy i ci polscy indyferentni narodowo-robotnicy są do niego wciągani, to taki związek zawodowy staje się automatycznie kolejnym instrumentem ich czechizacji. Przeciwko czemu oczywiście polscy socjaldemokraci protestowali uważając, że jest to odbieranie ich bazy wyborczej. Przy czym konflikty pojawiały się chociaż na dużo mniejszą skalę również z tymi centralistami, którzy reprezentowali w czeskim ruchu socjaldemokratycznym bardziej internacjonalistyczne, stanowisko, ponieważ centraliści uznawali z kolei, że to jest wszystko jedno, do jakiej partii socjalistycznej robotnik należy, a więc wciągali masowo w swoje szeregi tych imigrantów z Galicji, którzy siłą rzeczy też w rezultacie ulegali czechizacji. To stanowiło punkt zapalny pomiędzy tymi centralistami a socjaldemokratami polskimi.

Finałem całości staje się wybuch I Wojny Światowej. Polska Partia Socjaldemokratyczna, jak wiemy, angażuje się wówczas bardzo wyraźnie w tenże konflikt, staje na gruncie tak zwanego rozwiązania austro-polskiego, czyli przekształcenia Austro-Węgier w monarchię trialistyczną, złożoną z trzech części. Jedną z tych części miałyby być odbudowane Królestwo Polskie złożone z zaboru rosyjskiego i zaboru austriackiego. Również polscy socjaldemokraci w Galicji angażują się w to rozwiązanie, stając się jedną z głównych, głównych sił Sekcji Śląskiej Naczelnego Komitetu Narodowego. O ile Naczelny Komitet Narodowy był reprezentacją olbrzymiej większości polskich stronnictw politycznych zaboru austriackiego, to Sekcja Śląska, która powstała spontanicznie i niezależnie od tego krakowskiego Naczelnego Komitetu Narodowego, stanowiła odpowiednik tego NKN-u na Śląsku. Na tej fali entuzjazmu, wywołanego (co w naszych czasach brzmi dość paradoksalnie) wybuchem wojny, polscy

socjaldemokraci na bazie „Siły” i „Strzelca” tworzą latem 1914 roku sześć plutonów, które następnie wchodzi w skład Legionu Śląskiego. Będącego, jak wiemy, częścią formacji, tworzonej przez Piłsudskiego. Bardzo szybko dochodzi do kryzysu. W sekcji śląskiej, ponieważ pozostałe ugrupowania polskie, działające na Śląsku Cieszyńskim, reprezentowały inną orientację niż socjaldemokraci. Socjaldemokraci jednoznacznie opowiadali się po stronie państw centralnych, natomiast zarówno to „ewangelickie” Polskie Stronnictwo Narodowe, jak i Związek Śląskich Katolików, pozostawały tutaj dużo bardziej sceptyczne. Bo zbliżały się do stanowiska narodowej demokracji, która, jak wiemy, sympatyzowała bardziej z Rosją. Z jakich powodów – o tym powiem tutaj za chwilę. Nie chodziło tu akurat tutaj o żadną szczególną prorosyjskość. I dlatego, gdy socjaldemokraci byli entuzjastyczni wobec polskiego zaangażowania w I wojnę światową, to katolicy i ci narodowcy, ludowcy byli do tego dużo bardziej zdystansowani. Dochodzi do takiego kryzysu, w którym Legion Śląski zostaje rozwiązany. Ci, którzy doprowadzili do tego rozwiązania, uważali, że ponieważ w tym Legionie jest głównie młodzież wykształcona, to ogłoszenie Śląska Cieszyńskiego z młodej polskiej inteligencji będzie miało katastrofalne skutki dla życia narodowego. No, ale bez względu na to, jakie były tego przyczyny, mamy do czynienia z kryzysem. Sekcja Śląska zostaje rozwiązana. Ale na krótko, ponieważ socjaldemokraci postanowili ją odbudować.

Z tym, że odbudowali ją w praktyce w pojedynkę – oprócz nich było tam jeszcze takie małe ugrupowanie Związek Społeczno-Narodowy, ale to była też zupełna efemeryda. Więc de facto ta nowa Sekcja Śląska opierała się już prawie wyłącznie na działaniach Polskiej Partii Socjaldemokratycznej. Powiedziałem wcześniej, że pozostałe polskie partie Śląska Cieszyńskiego odnosiły się bardzo sceptycznie do proponowanego tutaj rozwiązania austropolskiego. Dlaczego? Dlatego, że rozwiązania austropolskie mówiły o stworzeniu państwa polskiego z terytorium Galicji, nic nie wspominając o Śląsku Cieszyńskim. Polacy na Śląsku Cieszyńskim obawiali się, bez względu na swoje sympatie polityczne, że to rozwiązanie austropolskie doprowadzi do zapomnienia i porzucenia na pastwę innych narodowości. Oczywiście obawiali się tego też polscy socjaldemokraci Śląska, których

program w tym czasie polegał na tym, przyłączeniu Śląska Cieszyńskiego do Galicji, a w przyszłości włączeniu Galicji do niepodległego państwa polskiego.

Poza tymi socjaldemokratami polskimi ze Śląska, nikt jednak tego programu nie głosił. Ponieważ już kierownictwo polskiej socjaldemokracji, wspierane tutaj przez tych internacjonalistów Chobota, było temu przeciwnie. Stało na gruncie, tak jak powiedziałem, rozwiązania austro-polskiego, polegającego na wejściu Galicji w skład odbudowanego państwa polskiego, nawet będącego w Unii z Austrią. Natomiast na Śląsku Cieszyńskim miał zostać tylko wyodrębniony Polski Okręg Narodowy. Tak uważała reszta PPSD. Również inne partie socjaldemokratyczne były temu, co proponowali polscy socjaldemokraci ze Śląska, przeciwni. Ponieważ socjaldemokraci austriaccy wraz z czeskimi centralistami opowiadali się za przekształceniem Austro-Węgier w federację regionów narodowych, to tutaj miałyby powstać taka środkowoeuropejska Szwajcaria złożona z kantonów narodowych. Każda narodowość miałaby się w ramach takiego wielonarodowego państwa swobodnie rozwijać. Z kolei paradoksalnie teraz dochodzi do zbliżenia stanowiska z autonomistami. Ponieważ ci narodowi socjaldemokraci czescy opowiadali się za budową czeskiego państwa narodowego, ale na zasadach etnicznych. I zgadzali się z tym, że polska część Śląska Cieszyńskiego powinna być częścią Polski. Zgadzali się na podział Śląska Cieszyńskiego, wobec czego wcześniej byli sceptyczni. W tym momencie mamy właśnie wspólne stanowisko z Polską. Z tymi polskimi socjaldemokratami. Wreszcie pojawia się jeszcze jedna siła. Zwłaszcza pod koniec wojny dochodzi do sytuacji zmęczenia społeczeństwa wojną, kryzysem ekonomicznym. I na tej fali odradza się ta internacjonalistyczna, rewolucyjna lewica. Która głosi hasło: „wszelkie sprawy narodowe, sprawy granic są nieważne. Liczy się tylko rewolucja społeczna, dobrobyt klasy robotniczej” i tak dalej. W styczniu 1918 roku mamy do czynienia z wielkim strajkiem powszechnym w tym regionie. Zostaje odbudowana międzynarodówka ostrawska. Krótko mówiąc, widzimy dużą sprzeczność stanowisk politycznych. I to stanowisko socjaldemokratów polskich na Śląsku jest osamotnione. W roku

1917 dochodzi do zerwania całej socjaldemokracji polskiej z państwami centralnymi. To się wiąże z kryzysem legionowym. Piłsudski i PPS zrywają z państwami centralnymi, przechodzą do opozycji. Podobnie robi Polska Partia Socjalno-Demokratyczna, która uznaje, że rozwiązanie austropolskie jest już nierealne. Przypomnę, że manifest dwóch cesarzy listopada 1916 roku zakładał budowę niepodległego państwa polskiego. Ale tylko z części zaboru rosyjskiego. A to by oznaczało, że nawet Galicja nie wchodzi w skład tego państwa. Czyli nawet to, co do tej pory traktowała PPSD jako program minimum, okazuje się nierealne. W takiej sytuacji uznano więc, że nie ma sensu trzymać się państw centralnych. Polscy socjaldemokraci stają teraz w całości na gruncie tego programu, jaki głosili wcześniej tylko polscy socjaldemokraci na Śląsku. Czyli – budowa polskiego państwa narodowego, niepodległego, obejmującego wszystkie te obszary, na których przeważa ludność polska. W tym również na Śląsku Cieszyńskim.

Proszę Państwa, podsumowując moje wystąpienie chciałbym podkreślić, że socjaliści – nawet nie mając takiego zamiaru – unarodowiali robotników. Nawet prowadząc propagandę socjalistyczną musieli ją przecież prowadzić przy użyciu języka literackiego. I samo zaznajamianie z tym językiem literackim już wprowadzało odbiorców w krąg kultury narodowej. Tych indyferentnych wcześniej robotników. A zarazem uświadamiali im konieczność samoorganizacji, walki o swoje prawa i interesy. Zwracali uwagę, że te interesy niekoniecznie muszą być tylko ekonomiczne. Że są też pewnego rodzaju interesy kulturalne – jak byśmy dzisiaj powiedzieli: tożsamościowe. w rezultacie mieliśmy do czynienia z procesem, który miał charakter nieuchronny. Zaczął się od czystego internacjonalizmu, wiary w braterstwo robotników bez względu na narodowość. A zakończył się właśnie tak, jak wymuszała to dynamika dziejów. Tworzeniem państw narodowych.

Pogranicze jako przestrzeń egzystencjalna

Dzień dobry Państwu, jest mi niezwykle miło, że mogę przed Państwem dzisiaj wystąpić nie tylko jako socjolog, politolog, ale też pisarz i awantur-
nik. Postaram się mówić o rzeczach, na których się znam, bo trzymam się
tej zasady, że mówię tylko na tematy, o których wydaje mi się, że się znam.
Pomyślałem sobie, że takim tematem dość interesującym również w kon-
tekście Zaolzia, ale też w szerszym kontekście takim, powiedziałbym, eu-
ropejskim czy międzynarodowym, jest pojawianie się nowych kategorii
narodowościowych. Zaczniemy od takiej dość banalnej tezy, że narody się
pojawiają i znikają i nie tyle same się tworzą, ile są tworzone – są to pew-
ne procesy historyczne. I jedną z takich grup aspirujących do roli narodu
są Ślązacy i ten problem narodowości śląskiej, czy tak zwanej narodowo-
ści śląskiej (jakby niektórzy powiedzieli) jest coraz bardziej aktualny i to
zarówno po polskiej, jak i po czeskiej stronie.

Zaczęło się po polskiej stronie od wyniku spisu powszechnego, w któ-
rym okazało się, że wśród nas żyje kilkaset tysięcy osób przyznających się
do tej śląskiej kategorii narodowościowej. Ten temat staje się coraz bar-
dziej aktualny po stronie czeskiej, po stronie zaolziańskiej. Tutaj przygo-
towałem taką tabelkę, która pokazuje jak bardzo proces jest dynamiczny,
jak przebywa osób narodowości śląskiej, natomiast jak stopniowo ubywa
Polaków i Czechów. Sam proces dokonuje się kosztem identyfikacji naro-
dowej. Temat jest na tyle interesujący i płodny, że już jest kilka grantów
tutaj właśnie w Republice Czeskiej poświęconych właśnie zgłębieniu opi-
sywanego zjawiska: skąd się w ogóle wzięło tak wielu Ślązaków, jak należy
to rozumieć? Na naszych oczach, w obecnych czasach wciąż tworzą się
nowe narody, nie tylko w najbliższej okolicy. Mamy przecież Kosowarów,
mamy Bośniaków, którzy nie byli przecież narodem jeszcze tych dwadzie-
ścia-trzydzieści lat temu.

Ten dynamiczny proces dotyczy – tak jak powiedziałem – również Za-
olzia, czy w ogóle Śląska jako regionu historyczno-kulturowego. Temat

mojego wystąpienia to jest właśnie problem narodowości śląskiej na Śląsku Cieszyńskim po 1989 roku, zarówno w polskiej, jak i po czeskiej stronie granicy. Śląsk jest bardzo ważnym regionem europejskim *par excellence*, pełniącym rolę pogranicza kulturowego. Skala różnego rodzaju dyfuzji kulturowych, migracji, emigracji, reemigracji, pozwala zaliczyć właśnie Śląsk jako całość do regionów najbogatszych kulturowo bogatych, ale i najbardziej burzliwych. Regionów, które, jak doskonale wiemy, przechodziły z rąk do rąk. Zmieniały się granice polityczne i też granice administracyjne. I też będę chciał kilka słów powiedzieć o tym, jak próbowano zacierać tę śląskość poprzez różnego rodzaju też manipulacje administracyjne. A więc Śląsk jako rejon pogranicza kulturowego.

Warto zwrócić uwagę na trzy wymiary kształtowania się tożsamości etnicznych i narodowych. Po pierwsze, Śląsk jest obszarem, którego granice wewnętrzne i zewnętrzne wielokrotnie w historii ulegały ewolucji. Zmieniały się przynależności państwowe tego obszaru, a wynikające z nich przekształcenia terytorialne niewątpliwie wpływały na rozwój społeczno-ekonomiczny regionu oraz przenikanie odmiennych systemów narodowościowych, politycznych, religijnych i gospodarczych. Bezpośrednią konsekwencją tego przenikania się rozmaitych wpływów, głównie polskich, czeskich, niemieckich, stało się wykrystalizowanie charakterystycznej dla części mieszkańców regionu tożsamości stanowiącej swoisty amalgamat kulturowy, określany jako tożsamość właśnie śląska. Po drugie, drugim wymiarem kształtowania się tożsamości, wskutek pewnej takiej niemożności czy braku woli przypisania się do którejś z uznanych narodowości, myślę to o Polakach, o Czechach, o Niemcach, jest właśnie ucieczka w regionalność, w śląskość. Niektórzy powiedzą, że to jest właśnie rodzaj ucieczki, niechęć do przyznania się do którejś z uznanych kategorii narodowościowych.

Czy tak jest? Zdania są na ten temat podzielone. Niewątpliwie z uwagi na pewną burzliwość historyczną, taka postawa bywała momentami bezpieczniejsza. Chciałbym zwrócić Państwa uwagę, że Zaolzie jest jednym z niewielu regionów w Europie, gdzie obserwujemy proces odwrotny do unarodowienia. To znaczy najpierw było unarodowienie, a teraz jest

odnarodowienie, czy też szukanie jakiejś innej tożsamości. Nie jest wcale bardzo powszechne zjawisko. Socjologowie są w większości niezgodni co do tego, że jest proces nieodwracalny, że znacjonalizowana grupa społeczna, polska, niemiecka, czeska, jakakolwiek inna już się nie może zdenacjonalizować. Nie może wrócić do czegoś, co jest wcześniejsze, czyli do pewnej kategorii regionalnej. Nie może uciec przed tą polskością, niemieckością, czeskością. Okazuje się, że to jest możliwe.

Warto pamiętać, że ze śląskością wciąż walczano. Walczono i w Polsce, i w Czechosłowacji. Powody tego były bardzo różne. Walczono na różne sposoby. Na przykład poprzez zacieranie granic administracyjnych, poprzez włączanie do Śląska ziem, które nigdy na Śląsku nie leżały. I to miało miejsce zarówno po polskiej, jak i po czeskiej stronie regionu – różnego rodzaju takie manipulacje administracyjne były faktem. Śląskość jako problem polityczny pojawił się po 1989 roku, w kontekście takiej koncepcji, która określa się mianem *ethnic revival*, czyli odrodzenia etnicznego. Ten naród śląski jako konstrukt stał się niewątpliwie dużym zaskoczeniem dla rządzących. Wyniki tych spisów, i tutaj po czeskiej, i po polskiej stronie, zmusiły wielu polityków, zarówno polskich, jak i czeskich, do postawienia tej kwestii jako właśnie kwestii politycznej. I znalezienia odpowiedzi na pytanie, dlaczego tyle osób przyznaje się do tej kategorii? Co jest powodem? Tu też były bardzo różne odpowiedzi. Jedną z takich odpowiedzi to była taka niezgoda na centralizację państwa. Niezgoda na to, że Warszawa czy Praga będą nam dyktować, co mamy żyć i co mamy robić. Było to chyba takie najbardziej popularne wytłumaczenie zjawiska. Trzeba też pamiętać, że inaczej definiuje się narodowość, czy mniejszość narodową w Polsce, inaczej w Republice Czeskiej. O ile w Polsce mamy pewien katalog ustalony, zamknięty w ustawie, gdzie wymienione są enumeratywnie poszczególne narodowości. Tego w przypadku czeskiej ustawy, która jest bardziej liberalna, tego nie ma.

I zadajmy sobie pytanie takie chyba podstawowe. Czy Ślązacy to jest naród *in statu nascendi*? I jeśli tak, to jakie to może mieć konsekwencje dla tożsamości regionu? Myślę tutaj o Zaolziu, ale nie tylko, w ogóle o całym Śląsku. Jeżeli przyjmujemy, że właśnie narody są w trakcie tworzenia,

czy tworzenia się, bo tutaj są różne koncepcje socjologiczne na ten temat, to niewątpliwie jest tak, że to się dokonuje faktycznie czyimś kosztem. To nie jest wcale tak, że do śląskości przyznają się osoby, które nie mają narodowości. Przyznają się Polacy, przyznają się Czesi. I tak, jak właśnie pokazuje ta tabela – w przypadku tych poszczególnych gmin zaolziańskich zauważalny jest pewien proces, który się wzmacnia.

Jak to się może przełożyć na politykę? Jak się może przełożyć na zachowania wyborcze? Trudno powiedzieć. To jest pytanie o to, czy możliwa jest na przykład partia etniczna. Co wydawałoby się dość naturalne, prawda? Taka partia, która jest relewantna, która przechodzi przez kolejne procesy wyborcze, która nie znika. Która jest wyrazicielem interesów czy tożsamości jakiejś grupy etnicznej. Jest to pytanie, które pozostawiam otwartym, bo ja tego po prostu nie wiem. Być może będzie, być może i nie. W przypadku Polaków nie istnieje przecież żadna polska partia na Zaolziu. Pytanie brzmi, czy powstanie kiedyś reprezentacja śląska. Ja w zasadzie to tak na dobrą sprawę, to tak myślałem sobie, że ja tutaj przyjdę do Państwa i nie tyle będę się wymądrzał i mówił co myślę na ten temat, ale że posłucham odpowiedzi. To znaczy chętnie bym też usłyszał od naszych widzów, jeżeli będzie taka możliwość responsu. Na ich sposób rozumienia przyczyn, dla których właśnie tą tabelę specjalnie pokazałem. A ona wskazuje niezbiecie, że tożsamość śląska na Zaolziu się wzmacnia. Widać, że to bardzo często są przyrosty kilkusetprocentowe. W liczbach rzeczywistych to może nie jest jeszcze aż tak wiele, ale procentowo wzrost jest wyraźny.

Nie mam natomiast wątpliwości, że jest to temat, który może politycznie nabierać znaczenia w najbliższych latach i chyba dobrze byłoby zrozumieć źródła tego zjawiska, bo one niewątpliwie są złożone, są bardzo różne: poczynawszy od jakichś ekonomicznych, przez kulturowe, polityczne itd. Ale to trzeba umieć zdiagnozować, a nie tylko obrażać się na to, że część osób odchodzi od polskości, czy od czeskości, ucieka w tę kategorię regionalną, czy w ogóle ucieka od kategorii narodowej, bo to jest chyba fenomen czeski, prawda? To jest jedyny taki przypadek w Europie, gdzie bardzo duży procent populacji nie przyznaje się do żadnej narodowości.

Nagle okazuje się, że w Republice Czeskiej Czesi stanowią nieco powyżej 60% populacji. Wszyscy doskonale wiemy, że jest to ponad 90%. No ale te kilkadziesiąt procent się nie chce przyznać do tej kategorii i tutaj w obszarze socjologii mamy z tym problem – dlaczego?

Jedną z takich odpowiedzi jest takie przekonanie, że narodowość to jest coś, co należy do XIX wieku. No może do XX, ale w XXI narodowość nie odgrywa już większej roli, więc tożsamość, to jest obywatelstwo, ale narodowość to kategoria, która należy de facto do skansenu i należy ją odesłać do lamusa. W Polsce jeszcze tego nie ma, natomiast tutaj w Czechach takie myślenie faktycznie występuje. Przyszedłem tutaj mając nadzieję, że usłyszę jakieś odpowiedzi, które będą mnie przekonywały do tego, że albo się mylę, albo się nie mylę, stawiając pewne diagnozy tejże sytuacji.

Na koniec zadam sobie pytanie – czy to dobrze, że pojawiła się ta kategoria, że pojawili się Ślązacy? Nie wiem, czy w ogóle można formułować takie pytanie, powiedzmy jednak, że skoro je postawiłem, to dokończę. Sądzę, że ten fenomen zmusza do myślenia, do zadania sobie właśnie pytań o polskość, o czeskość, o w ogóle o regionalność, na ile te kategorie są wykluczające się, a na ile można mieć wiele tożsamości. I tutaj myślę, że warto odwołać się do znanych socjologów, jak Antonina Kłockowska, która mówi, że można mieć dwie narodowości, nawet trzy, że można to w sobie połączyć, że nie są to wcale kategorie, automatycznie wykluczające się. I można łączyć w sobie różnego rodzaju właśnie tożsamości narodowe. Myślę, że Śląsk jest takim miejscem, gdzie w zasadzie ta Śląskość nie musi wykluczać polskości czy czeskości i odwrotnie. Czeskość, polskość nie musi wykluczać śląskości. I że nawet można to nazwać kategorią narodowościową. Nie ma co się obrażać na tego typu zjawiska. Warto jednak umieć łączyć te tożsamości – regionalizm, małą ojczyznę z tą większą. Myślę, że taką konkluzję chciałbym zakończyć swoje wystąpienie. Dziękuję za uwagę i czekam na Państwa odpowiedzi.

O Pawle Hulce-Laskowskim

Bardzo mi miło gościć na dzisiejszym wydarzeniu. Będę mówił o Pawle Hulce-Laskowskim z takiej szczęśliwej, można powiedzieć, długo wyczekiwanej okazji, jaką jest pierwsze w dziejach wznowienie książki „Śląsk za Olzą”. Książki, która ukazała się w roku 1938 i następnie została skazana na niepamięć. Stało się tak dlatego, że data wydania była niezbyt szczęśliwa, dlatego że było to raptem rok przed wybuchem wojny. Później są lata okupacji, a przez cały okres komunistyczny książka jest niewznawialna. Mimo, że inne książki Pawła Hulki-Laskowskiego były w Polsce wznawiane, łącznie z jego taką najśłynniejszą książką „Mój Żyrardów”, to okazało się, że książka Śląsk za Olzą jest po prostu przemilczana. Co więcej, ta sytuacja nie zmieniła się po roku 1989 przez te kilka dekad: aż do teraz. Otóż nie było wielkich woli i chęci wznawiania tej książki. O tym sobie pewnie jeszcze troszeczkę porozmawiamy później.

Chciałbym natomiast zacząć od takich absolutnych podstaw, czyli od autora, od Pawła Hulki-Laskowskiego, który przyszedł na świat jako Paweł Hulka w roku 1881 w Żyrardowie (centralna Polska w obecnym kształcie terytorialnym). Co ciekawe, Paweł Hulka-Laskowski miał pochodzenie czeskie, czy raczej staroczeskie. Dlatego, że jego rodzice, on sam, cała rodzina, to był taki wielopokoleniowy ród, który wywodził się z grupy uchodźców religijnych z terenów Czech. To osoby związane przed tymi kilkoma pokoleniami wstecz z protestantyzmem, z tym odłamek braci czeskich, który się tutaj na terenie Czech pojawił. I w czasach, kiedy ten odłamek religijny przegrał te wszystkie swoje wielkie batalie historyczne, nastąpił okres kontrreformacji, ci najbardziej aktywni, najbardziej zaangażowani uczestnicy tego ruchu po prostu musieli z terenów Czech, żeby ratować zdrowie, życie, czy też przynajmniej pewne swobody podstawowe, swobody wyznania, swobody przekonań, uciec. I uciekli do Polski. I tak oto przodkowie Pawła Hulki-Laskowskiego, znali się w takiej miejscowości Żelów. To jest miejscowość, niewielka, małe miasteczko

w okolicach Łodzi. I była to przez długie lata taka, można powiedzieć, najbardziej zwarta enklawa czeska na terenie Polski, nie licząc tych terenów rozmaitych, drobnych, przygranicznych. Okazało się, że tam to nagromadzenie uchodźców z Czech jest tak duże, że oni stworzyli takie czeskie miasteczko w środku Polski. I przez długie lata po prostu kultywowali tę swoją czeską tożsamość. Język taki, można powiedzieć, w tym momencie staroczeski, bo ze współczesną czeszczyzną już nie ma wiele wspólnego. I tym, co jeszcze stanowiło taki zwornik tej społeczności, było tkactwo. Oni, gdy uciekli z Czech, musieli z czegoś żyć, musieli się z czegoś utrzymać, prawda? I ci, którzy uciekli, którzy osiedli w Żelowie, akurat zajmowali się tkactwem. Byli bardzo dobrymi rzemieślnikami tkackimi, co w tamtych czasach sytuowało ich w takiej elicie rzemiosła. To był bardzo dobry zawód, bardzo prestiżowy, również z punktu widzenia finansowo-zarobkowego. Oni po prostu, żeby się utrzymać w tym polskim nowym otoczeniu, zajęli się tym tkactwem i tak sobie z pokolenia na pokolenie to tkactwo przekazywali. I z tego dobrze żyli w Żelowie.

No i pojawił się problem w wieku XIX, kiedy zaczęła się produkcja włókiennicza już fabryczna. Oni sobie działali w takich małych manufakturkach, aż tu nagle, po tej całej rewolucji technologicznej, pojawiły się po prostu ogromne fabryki włókiennicze, tkackie, które odebrały tym żelowskim tkaczom rację bytu, odebrały im rację bytu finansowego, całemu w zasadzie miasteczku. A co gorsza dla nich, wiele z tych fabryk powstało w okolicy. Dlatego, że okolice Łodzi stały się takim zagłębiem przemysłu włókienniczego w XIX wieku. To była sama Łódź, to były różne inne miejscowości i jedną z takich miejscowości, gdzie powstała ogromna fabryka, był Żyrardów. Żyrardów, gdzie znajdował się kapitał francuski. I nieprzypadkowo właśnie w Żyrardowie urodził się Paweł Hulka. Dlatego, że jego rodzice, gdy stracili ekonomiczną rację bytu w Żelowie, uznali, że jeśli nie możesz pokonać wroga, czyli tych wielkich przedsiębiorni, to się do niego przyłącz. No więc po prostu wywędrowali za pracą do Żyrardowa. I zostali robotnikami przemysłu włókienniczego.

I tam właśnie przychodzi na świat nasz mały Paweł Hulka, który jest którymś tam pokoleniem czeskich imigrantów do Polski. Rodzi się

w rodzinie robotniczej. Matka i ojciec pracują w tych wielkich zakładach włókienniczych w ósmej, dziewiątej, dziesiątej dekadzie XIX wieku. Czyli pracują w warunkach, jakbyśmy to dzisiaj, wedle dzisiejszych standardów, określili: strasznych. Jest to praca po 12-14 godzin dziennie. I bardzo szybko jego matka podupada na zdrowiu, zatem nie może wykonywać pracy. Więc oni się, mówiąc wprost, staczają w biedę. Bo pozostaje jedynie pensja ojca, marna pensja zwykłego robotnika włókienniczego. Co to znaczy? To znaczy tyle, że Paweł Hulka jako jedenastoletnie dziecko, według dzisiejszych standardów dziecko, według ówczesnych niekoniecznie, idzie do pracy w tych samych zakładach. Jedenastoletni chłopiec! Ale on sobie uświadamia, jak już poszedł do tej pracy, że nie jest taki jak całe jego otoczenie. No bo język, który mówią w domu, to jest jakaś taka staro-czeska gwara, dialekt. On nie do końca się rozumie z rówieśnikami, z przełożonymi w fabryce. No i zaczyna się zastanawiać nad tym, kim on w zasadzie jest. Jak rozmawia z rodzicami, to oni mu mówią: „no my jesteśmy z Czech”. No więc on, myśląc, że jest de facto Czechem, znajduje człowieka w tej fabryce, który jest tam majstrem i który jest takim faktycznym Czechem. To znaczy sprowadzonym do obsługi nowoczesnych maszyn, majstrem pochodzącym z Czech. Człowiekiem, który nazywa się Prohazka. No i mały Paweł Hulka idzie do tego człowieka i próbuje z nim rozmawiać: „Ja jestem Czechem, pan jest Czechem, no to sobie pogadajmy jak Czesi.” Okazuje się, że tamten człowiek go za bardzo nie rozumie. Hulka sobie uświadamia, że on tym Czechem jest na pół gwizdka, czy na ćwierć gwizdka. Okazuje się, że ten jego język domowy, jest już niezrozumiały dla współczesnego Czecha, ma niewiele wspólnego z nowoczesną czeszczyzną.

Co robi ten chłopiec o tym już rozbudzonym, jakimś takim zawikłanym poczuciu tożsamości, trochę polskim, trochę właśnie czeskim? Prosi tego człowieka, żeby go uczył współczesnego czeskiego. I ten majster go faktycznie uczy. Podsuwa mu w miarę nauki czeskie książki, literaturę czeską, podsuwa mu gazety czeskie i ten młody chłopak to wszystko zaczyna czytać, zaczyna się tego uczyć, a to jest chłopak, jak się bardzo szybko okazuje, po pierwsze bardzo zdolny, po drugie wyjątkowo zdeterminowa-

ny, żeby zdobywać wykształcenie. On oczywiście nie ma szans, pracując w tej fabryce, chodzić do jakichś szkół. Nie ma pieniędzy na książki, nie ma takich możliwości rozwoju, jakie miałyby dziecko lepiej urodzone. On zostaje samoukiem i po tej pracy w fabryce, która trwa w jego przypadku 11 godzin, uczy się nocami. Uczy się czeskiego, przerabia sobie kurs też literatury polskiej. Jest taki bardzo ambitny, szybko zaczyna się uczyć niemieckiego, zaczyna się uczyć angielskiego... Mamy taką historię o szalonych ambicjach i edukacyjnym pędzie dziecka z robotniczej rodziny. Zwraca tym uwagę swojego otoczenia. I to jest dla niego dar od losu, że nagle z pracownika fizycznego tej fabryki zostaje awansowany do biura. Zostaje awansowany do środowiska bardziej inteligenckiego. On tam oczywiście robi proste rzeczy, ale dostaje pracę umysłową. Zaczyna być też bliżej decydentów tej fabryki, gdzieś tam się z nimi mija już na korytarzach rozmaitych pomieszczeń biurowych, dyrekcji itd. I dzięki temu: po pierwsze zarabia więcej, po drugie zaś ma lżejszą pracę. I może jeszcze bardziej angażować się w to swoje samokształcenie, bo nie jest już tak wymęczony, jak dwunasto czy trzynastoletnie dziecko po kilkunastogodzinnej pracy fizycznej było wcześniej. I co się okazuje? On bardzo szybko zapada na gruźlicę, na chorobę, która wtedy dla wielu osób stanowiła po prostu wyrok śmierci, czy wyrok bardzo skróconego życia. Ale ponieważ on w tej fabryce już tam kogoś zna, to do jakiegoś tam wysokiego szczebla jego szefów dochodzi historia, że jest taki chłopczyk bardzo zdolny, pracujący tutaj już u nas w fabryce, który zachorował. I ten jego szef, czy też szefowie, postanawiają go wysłać do sanatorium.

A później, gdy on już wchodzi w taką troszeczkę orbitę towarzyską tego środowiska, to pracodawca funduje mu studia. Studia w Niemczech, w Heidelbergu. To był wówczas ceniony ośrodek naukowy, ale też, co jest ważne, związany był z kręgami protestanckimi. A Hulka i jego rodzina byli właśnie ewangelikami. Jakby kontynuując tę tradycję rodzinną swoich poprzedników, którzy uciekli do Polski. I to jest takie trochę success story tamtych czasów, bo chłopak z prawie samego prawie dna społecznego, którego los mógł się skończyć bardzo marnie, oto zdobywa wyższe wykształcenie, zdobywa pewnego rodzaju bycie, zdobywa możliwości roz-

woju, o jakich wiele dzieci robotniczych nawet nie mogło de facto pomarzyć. I on to wykorzystuje, bo do tej swojej takiej ogromnej woli rozwoju, tej chęci samokształcenia, dodaje wielką pracowitość. On bardzo twórczo wykorzystuje czas studiów w tym Heidelbergu, studiując chyba trzy kierunki jednocześnie. Ale co jeszcze robi? Otóż on zaczyna taką działalność, która go później rozślawiła, pozwoliła mu też w miarę przyzwyczajenia żyć. Zaczyna, po pierwsze, pisać własne teksty. Po drugie zaś tłumaczyć cudze teksty. Korzystając z talentu językowego, z tej pracy, którą wykonał, zaczyna już jako de facto nastolatek, przed dwudziestym rokiem życia, dokonywać pierwszych tłumaczeń z literatury na język polski. I jednym z takich jego wyborów, bardzo oczywistych w kontekście tego, czym się interesował, który później też naznaczy go na całe życie, są pierwsze utwory tłumaczone z czeskiego. Tłumaczy najpierw nowelkę Bożeny Niemcowej, to jest taka absolutna klasyczka języka literatury czeskiej, o której wciąż czeskie dzieci uczą się w szkołach. A następnie tłumaczy też jakieś tam nowele Hawliczka-Borowskiego, co jest również absolutną klasyką literatury czeskiej. I on to tłumaczy i wysyła to do rozmaitych wydawnictw, do czasopism literackich, żeby kogoś tym zainteresować. I udaje mu się. W szybkim tempie zostaje takim, można powiedzieć, że dość rozpoznawalnym, wziętym tłumaczem literatury. Do tego niebawem dodaje tłumaczenie utworów literackich z niemieckiego, dodaje tłumaczenia z angielskiego. I już jako tam prawie trzydziestolatek jest dosyć znanym, rozpoznawalnym tłumaczem na gruncie kultury literackiej polskiej.

Ma też jeszcze w międzyczasie epizod czeski, o którym może opowiem troszeczkę później, bardzo ciekawy. Ale przede wszystkim jest właśnie tłumaczem oraz literatem, ponieważ zaczyna pisać coraz więcej własnych tekstów. Najpierw to są teksty o tematyce takiej, można powiedzieć, religijnej, humanistycznej, kulturalnej, ale coraz częściej zaczyna sięgać po tematykę społeczną. Jest to człowiek dużego talentu literackiego. Już jako trzydziestoparo, czterdziestolatek, staje się rozpoznawalną postacią, publikuje w najbardziej znanych polskich czasopismach, między innymi w Wiadomościach Literackich, czyli w jednym z najbardziej znanych, najbardziej opiniotwórczych polskich czasopism. I co jeszcze

robi? Kontynuuje tę ścieżkę tłumacza. I zaczyna specjalizować się w literaturze czeskiej. Przede wszystkim w takich dwóch, można powiedzieć, jej podgrupach. Pierwsza podgrupa to jest tłumaczenie kilku książek bardzo znanego, bardzo wówczas modnego, nagradzanego w całym świecie literata czeskiego, Karela Czapka. Hulka tłumaczy, to są bardzo modne książki, one wtedy wychodzą w dużych nakładach, bo są to takie wizjonerskie książki, projektujące nowy świat, trochę utopia, trochę dystopia. Czapek jest między innymi twórcą terminu robot, czyli taki wyprzedza swoją epokę, jeśli chodzi o wizję przyszłości. I Hulka jest tłumaczem tych jego kolejnych czterech, czy pięciu książek na polski. Te książki odbijają się też sporym echem w polskim świecie literackim. Zaczyna mieć status ambasadora kultury czeskiej w Polsce. W zasadzie nie ma porównywalnej postaci z Hulką w Polsce, jeśli chodzi o promowanie kultury czeskiej, o komentowanie kultury czeskiej. Nawet inni twórcy ważni twórcy konsultują z nim kwestie związane z kulturą czeską.

Wróćmy teraz do tego, skąd się wziął Laskowski. Dlatego, że gdy Paweł Hulka zaczynał swoją karierę tłumacza, to nie wiedział, jak ta kariera mu pójdzie. Więc się troszeczkę wstydził podpisywać własnym nazwiskiem. I wymyślił sobie pseudonim. Hulka po czesku znaczy: laska. Taka laska do podpierania się, jak starsi ludzie kiedyś chodzili powszechnie z laską, teraz jest to rzadziej widywane. I on od tego słowa laska robi sobie po prostu pseudonim Paweł Laskowski. Ale jak się okazuje, że ta kariera bardzo szybko mu wypaliła, no to jednak szkoda nie przyznawać się do własnego nazwiska. Więc on się zaczyna podpisywać Paweł Hulka-Laskowski. Zmienia sobie to nawet oficjalnie w dokumentach i tak zostawia.

Wrócimy teraz do drugiej ścieżki czeskich dokonań, okołoczeskich dokonań tłumaczeniowych. To jest książka, która rozsławiła w Polsce Pawła Hulkę Laskowskiego na zawsze. Czyli pierwsze polskie tłumaczenie „Przygód dobrego wojaka Szwajka: Jarosława Haszka. Hulka dokonał tłumaczenia tak naprawdę nie mając wydawcy polskiego. Tak bardzo zafascynowała go ta książka. A później chodził po różnych wydawnictwach i próbował zainteresować wydawców. Wtedy ta książka jeszcze nie była tak znana w świecie. Jarosław Haszek był literatem jeszcze nie do końca

rozpoznanym. Ale Hulka przekonuje jedno z wydawnictw polskich, że to będzie bestseller. I to faktycznie się okazuje bestsellerem! Aż do lat 90. XX wieku wszystkie kolejne wydania Szwejka w Polsce to kanoniczne tłumaczenie Pawła Hulki-Laskowskiego. To były dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy nakładów. Więc przeciętny taki polski czytelnik, odbiorca literatury, znał Pawła Hulkę-Laskowskiego w dużej mierze dzięki Szwejkowi. Mowa o tłumaczeniu, które po latach stało się, można powiedzieć, kultowym. Nie było bowiem takim topornym, wiernym tłumaczeniem, tylko Hulka dodawał tam takie bardzo ciekawe, rozmaite zwroty, które po czasie weszły do potocznej polszczyzny.

Po co ja o tym wszystkim mówię? Po to, żeby pokazać, dlaczego Paweł Hulka napisał książkę „Śląsk za Olzą” i dlaczego to było tak bardzo ważnym i ciekawym wydarzeniem. Są lata trzydzieste. Paweł Hulka Laskowski jest już znanym publicystą, znanym tłumaczem, znaną postacią kultury. Pewnie za dużo byłoby powiedzieć, że to jest absolutny polski top, jeśli chodzi o świat literacki. Natomiast jest to człowiek z pewnością rozpoznawalny. I jego rozpoznawalność jeszcze w latach 30. wspina się na wyżyny, dlatego, że on pisze taką książkę „Mój Żyrardów”. Książkę, która staje się bardzo głośna w całej Polsce. I otwiera mu też troszeczkę drogę na Zaolzie. To jest książka o jego rodzinnym mieście, do którego on po studiach wrócił, z którym był cały czas związany. Tam żył, pracował, nie wyjechał do żadnego innego miasta. I Żyrardów na przełomie lat 20. i 30. znajduje się w totalnym upadku. Dlatego, że te wielkie zakłady, w których Paweł Hulka pracował jako młody człowiek, zostają przejęte przez taki, jakbyśmy to powiedzieli, agresywny, spekulacyjny kapitał. To już nie są ci dawni francuscy właściciele, którzy przez kilka pokoleń te zakłady prowadzili w takim duchu organicznego rozwoju, w duchu dbałości o pracowników, w duchu dbania o miasto, lecz przejmuje to taki kapitał, który chce z tego wycisnąć jak najwięcej forsy i się w ogóle nie przejmuje losem tych zakładów, tej społeczności. A te zakłady są tak naprawdę jedynym żywicielem całego miasta, bo to miasto powstało wokół nich. Miasto Żyrardów nosi nazwę od nazwiska Gérard, czyli francuskiego założyciela. Tam wcześniej było po prostu puste pole. Dopiero wokół tych zakładów

powstała cała społeczność. I teraz ta społeczność traci rację bytu, bo ten kapitał dokonuje dewastacji – zwalnia połowę pracowników, innym narzuca coraz większe, coraz bardziej brutalne normy pracy. Przestaje łożyć pieniądze na otoczenie społeczne zakładów, czyli na różną aktywność kulturalną, na szkoły, które wcześniej finansował. Miasto pogrążone jest w zapaści. A Paweł Hulka, mając to wszystko pod nosem, czując się też emocjonalnie związanym z tą społecznością robotniczą, z tymi zakładami, zaczyna opisywać to zjawisko w prasie ogólnopolskiej, w takich alarmistycznych tekstach. Apeluje, żeby ktoś coś z tym zrobił. On nie za bardzo wie kto, nie za bardzo wie jak, ale nagłośnia problem. Wykonuje taką podstawową robotę zaangażowanego społecznie literata. I te teksty stają się coraz głośniejsze. Drukują je czołowe polskie pisma. Zaczyna się jakaś debata. Gdy Paweł Hulka w końcu wydaje tę książkę „Mój Żyrardów”, taką troszeczkę autobiograficzną, a trochę opisującą to nieszczęście, które dotknęło miasto, to książka staje się bardzo głośna. Są dwie kwestie, które o tym świadczą. Pierwsza – czyli znane zdjęcie prezydenta Ignacego Mościckiego, jak on na jakimś spotkaniu dla prasy siedzi w swoim saloniku i tam na stole leży właśnie książka „Mój Żyrardów”. A drugi przejaw wpływu tej książki jest taki, że w końcu polskie władze właśnie coś z tym robią. To znaczy wykazują przed sądem, że francuski właściciel prowadzi gospodarkę rabunkową i mu ten zakład po prostu zabierają. Zakład przechodzi na własność państwa, zaczyna produkować na potrzeby wojska materiały włókiennicze i można powiedzieć, że Paweł Hulka-Laskowski swoimi tekstami ratuje całe zakłady i całe miasto. To jest nie tylko dobry uczynek, to jest też pewnego rodzaju sława człowieka, który swoją determinacją, odwagą po prostu dokonał czegoś wielkiego. Nie ma w zasadzie dla człowieka piszącego większej pochwały, niż powiedzieć, że jest aż tak sprawczy.

Co to oznacza w kontekście Zaolzia? Otóż znaczy to tyle, że jest to w tamtym momencie, w połowie lat 30-tych, bardzo znana postać wpływowa zarówno w dziedzinie literatury, jak i czegoś, co można by powiedzieć: rozpoznawalności społecznej. Powszechna świadomość, że jest człowiek sprawczy, że to jest człowiek, którego książki, którego teksty coś znaczą

i coś zmieniają. W latach trzydziestych Polska wraca do tematu Zaolzia. Ten temat ciągle żył, ta kwestia sporu o granice, o przebieg granicy, o przynależność państwową tego terenu jest, można powiedzieć, ciągle żywa w latach dwudziestych, ale w latach trzydziestych polskie władze wracają do prób pewnej rewizji tego porządku, który został ustalony wcześniej. Całe polskie społeczeństwo też nie jest pogodzone z werdyktem granicznym, który Polsce odebrał tak duże tereny na Śląsku Cieszyńskim, znacznie zamieszkane przez Polaków. I trwa debata na łamach mediów. Co ciekawe, to jest debata prowadzona zupełnie ponad podziałami politycznymi. Co do tej kwestii, że ten werdykt Ententy był niesprawiedliwy, zgadza się w zasadzie cała polska opinia publiczna – od mocnego lewa po mocne prawo. Ten temat staje się coraz bardziej znaczący i Paweł Hulka-Laskowski dostaje propozycję napisania dużej książki właśnie o Polakach, którzy żyją za Olzą. Zleceńodawcy, czyli prawdopodobnie kręgi okołorządowe, związane prawdopodobnie z wojewodą śląskim Michałem Grażyńskim, proponują Hulce napisanie takiej książki. Wyjazd na tereny za Olzą, na tę część Śląska Cieszyńskiego, która jest pod władaniem Czechów i opisanie zarówno samego terenu, jak i losu Polaków na tym terenie. Paweł Hulka propozycję przyjmuje. I co ciekawe, wspominałem tutaj o wcześniejszym czeskim epizodzie Hulki-Laskowskiego – otóż w roku 1920 otrzymał on propozycję pracy w polskiej ambasadzie w Pradze. I był tam człowiekiem odpowiedzialnym za, jakbyśmy to nazwali dzisiaj politykę medialną. Pełnił role takiego nieformalnego rzecznika prasowego ambasady. Nie tylko przekazywał Czechom polskie stanowiska, ale też śledził ówczesne media czeskie i przekazywał polskim władzom, polskiemu rządowi, polskiej opinii publicznej nastroje, panujące w Czechach, szczególnie nastroje odnośnie Polski. I poznał wtedy Czechy, można powiedzieć, już nie tylko przez literaturę, ale przez politykę, przez realia życia codziennego. Człowiek, który wykonał tak wielką pracę dla promocji kultury czeskiej w Polsce i który miał również pochodzenie czeskie, bardzo się do Czechów i do stosunku Czechów do Polaków zraził. Bardzo zmienił swoje idealistyczne wcześniej zdanie o Czechach, szczególnie jednak stosunek Czechów do Polski zagrożonej najazdem bolszewickim, dał Hulce wiele do myślenia.

Wtedy on zainteresował się mocniej polityką, polsko-czeskim rozstrzygnięciem granicznym i śledził te sprawy przez lata.

Zatem w roku 1936 Paweł Hulka-Laskowski przyjeżdża na Śląsk Cieszyński, jest początkowo po polskiej stronie granicy, później bardzo dużo czasu spędza po stronie czeskiej. To, co nazywamy dzisiaj Zaolziem, przewędrował bardzo dokładnie na potrzeby pisania swojej książki. Spotkał się z wieloma osobami, wiele miejsc odwiedził nawet kilkakrotnie. Można powiedzieć, że od Ostrawy aż po Czacę – czy to pieszo, czy pociągami, czy z jakimś wynajętym szoferem – on to, po prostu, wszystko w celu zbierania materiałów do tej książki. Oprócz tego oczywiście to były prace archiwalne, to były prace nad lekturami wcześniejszych autorów, zarówno polskich, jak i czeskich. Przede wszystkim jednak to było takie poznanie żywych ludzi tamtej epoki, Polaków na tym terenie. Te prace trwały w zasadzie ponad rok. Hulka pomieszkiwał na Zaolziu, spotykał się z bardzo wieloma przedstawicielami tutejszych Polaków, zarówno spośród postaci znanych – działaczy społecznych czy kulturalnych, polityków, dyrektorów szkół polskich, w tym tak ważnych jak szkoła w Orłowej. Rozmawiał też jednak ze zwykłymi ludźmi, wędrował, patrzył, przyglądał się, czytał lokalną prasę, zastanawiał się, jak to wszystko wygląda. I pisał. Wreszcie w roku 1937 ukończył we wrześniu wielką, monumentalną książkę Śląsk za Olzą, która ukazała się wiosną roku 1938.

I jest to w zasadzie chyba do tej pory największa książka na ten temat. Na temat losów, historii, dorobku Polaków na tym terenie, który nazywamy dzisiaj Zaolziem, tej części Śląska Cieszyńskiego włączonej do Czechosłowacji, a dzisiaj leżącej w granicach Czech. Nam się udało tę książkę wznowić teraz. Wydawcą jest Kongres Polaków w Republice Czeskiej. Ja miałem zaszczyt i przyjemność być redaktorem wznowienia tej książki. Mamy po tych 86 latach pierwsze wznowienie książki, która liczy prawie 500 stron. Ma do tego kilkaset ilustracji, też pochodzących z tego pierwszego, oryginalnego wydania, czyli ilustracji dokumentujących miejsca, których dzisiaj już nie ma, albo wyglądają zupełnie inaczej niż wtedy. I można powiedzieć, że mamy takie monumentalne wydawnictwo, wreszcie przypomniane po tylu latach nieprzypominania go. Wiemy, że nie

można było tej książki wznowić w czasach komunistycznych, dlatego że w imię takiej socjalistycznej jedności polsko-czechosłowackiej takie treści były niemiłe widziane. Po roku 89 też się niestety nikt do wznowienia tej książki nie kwapił.

Uważam, że jest to błąd, dlatego że niezależnie co myślimy o dawnych konfliktach, niezależnie co myślimy o obecnych czasach, to przede wszystkim to w ogóle nie jest książka, która byłaby książką agresywną. Nie jest to książka, która byłaby w jakiś taki tendencyjny sposób antyczeska. Nic z takich rzeczy. To jest książka człowieka, który – jak wspominałem – zrobił bardzo wiele dla kultury i literatury czeskiej, dla ich promowania w Polsce. Jest to książka człowieka o takim światopoglądzie humanistycznym, dalekim od wszelkich nacjonalizmów, od wszelkich szowinizmów, od podsycania jakichś właśnie narodowości. Sam Hulka wielokrotnie podkreśla, że jego celem nie jest jakaś antyczeskość, nie jest jakieś wielkie rozniecanie rozmaitych resentymentów. Zależało mu na tym, żeby odbiorcy w Polsce nie tylko wiedzieli, że są jacyś Polacy gdzieś tam poza południowymi granicami, ale dowiedzieli się, na czym polega ich kultura, ich przeszłość, jakie są ich związki z Polską, z kulturą polską i tak dalej. Ja będę przede wszystkim zachęcał do lektury, nie będę jej streszczał, skoro mamy już to wznowienie, to nie byłoby sensu tego robić. Jeszcze jedną z wartości książki jest moim zdaniem ten jej reportażowy charakter. To nie jest książka nudna, to nie jest książka pisana w gabinecie, to nie jest książka naukowca-teoretyka. To nie są tylko suche fakty. To jest przede wszystkim opowieść człowieka, który w tym roku 1936 i 1937 po prostu przewędrował kawał terenu, wszystko obejrzał na własne oczy, rozmawiał z żywymi ludźmi i tymi wrażeniami się podzielił. To nie jest żadne streszczenie tego, co opisali inni, tylko żywa opowieść wieloaspektowa. Tam też jest dużo takich interesujących subiektywnych spostrzeżeń. Czasami są to drobiazgi, ale bardzo ciekawe, bardzo wymowne. Mnie zapadł w pamięć taki wątek, do którego Paweł Hulka-Laskowski wraca wręcz obsesyjnie. Mianowicie on odwiedza kolejne miejscowości Zaolzia. To są czasami bardzo niewielkie miejscowości, czasami niewielkie wioski. On zawsze zwraca uwagę na to, jak w takich miejscowościach wygląda

szkoła polska, jak wygląda świeżo zbudowana szkoła czeska. I to zawsze jest taki kontrast, że jest mała, biedna szkoła polska, utrzymywana w dużej mierze ze składek miejscowych Polaków, którzy są prostymi, niezamożnymi ludźmi, więc nie mają żadnych wielkich funduszy, ale krzątają się koło własnej szkoły, koło zapewnienia przyszłości własnym dzieciom. Natomiast w tej samej miejscowości jest zbudowana na pokaz wielka, nowoczesna, mówiąc kolokwialnie wypasiona czeska szkoła, stanowiąca element oddziaływania na miejscową ludność. Pokazania miejscowym Polakom: zobaczcie, co my możemy, a jak niewiele wy możecie i jak warto byłoby zostać Czechem, bo wtedy awansujecie do tych wielkich, pięknych, nowoczesnych, świetnie wyposażonych szkół!

Książka, jak już wspomniałem, wydana została w 1938 roku i nie była to fortunna data. W 1939 roku rzeczywistość się zmieniła: książka odeszła w niepamięć z powodu okupacji, później ze względu na komunistyczne realia. I cóż, Paweł Hulka-Laskowski w taki nietypowy sposób związał się z tutejszą ziemią. Tuż po zakończeniu II wojny światowej odżył polsko-czeski spór graniczny i znowu nie było jasne, gdzie granica przebiegnie, gdyż obie strony ponownie zgłaszały pretensje do posiadania tych ziem. Paweł Hulka-Laskowski, już człowiek niemłody, schorowany (bo okupacja mocno odbiła się na jego zdrowiu) znowu przyjeżdża z Żyrardowa tutaj na zaproszenie swojego kolegi, ministra Rzymowskiego. Minister chciał, żeby Hulka doradzał tutaj w sprawie przebiegu nowego, kolejnego sporu polsko-czeskiego. Schorowany Paweł Hulka-Laskowski najpierw mieszka w Wiśle Głębcach, a później w Cieszynie, po polskiej stronie Olzy. Piše tam jeszcze książkę wspomnieniową „Księżyc nad Cieszynem”, ale niestety 29 października 1946 roku nagle umiera. Pochowany jest na cmentarzu ewangelickim w Cieszynie. Pierwszego listopada odwiedziłem z małżonką jego grób. Ze smutkiem zauważam, że jest to niestety grób rzadko odwiedzany. Poza jakimś tam bukietem od parafii ewangelicko-augsburskiej i zniczem od miłośników przygód dobrego wojaka Szwejka z Przemyśla, nie było tam poza naszym, świeżo przeniesionym zniczem absolutnie nic. Jest to dość smutne podsumowanie losów człowieka, który w moim subiektywnym odczuciu zrobił bardzo wiele dla tych terenów,

natomiast niestety został troszeczkę zapomniany – zarówno po polskiej, jak i po tutejszej stronie Olzy. Mam nadzieję, że wznowienie tej jego monumentalnej książki Śląsk za Olzą przywróci o nim pamięć zarówno na terenie Śląska Cieszyńskiego, jak szerzej, na gruncie ogólnopolskim. Mam też nadzieję, że lektura tej książki będzie pouczająca zarówno dla Polaków z głębi Polski, którzy często bardzo niewiele o Śląsku Cieszyńskim i o Zaolziu słyszeli. A jeśli już, to tylko jakieś stereotypowe, bardzo proste informacje. Ciekaw jestem, jak książka zostanie odebrana przez samych Polaków tutejszych, zaolziańskich, jak odnajdziecie się w tym opisie Hulki sprzed tych 86-88 lat, jak przejrzyicie się w tym zwierciadle przeszłości? Bardzo jestem ciekaw, jak w nadchodzących dniach, tygodniach, miesiącach będzie wyglądała recepcja tej książki w tych wszystkich środowiskach. Mam nadzieję, że będzie to taka ciekawa, ożywcza dyskusja i z taką nadzieją dziękuję za uwagę i żegnam się z Państwem.

„19+19=38”

Nazywam się Andrzej Matowski. Jestem administratorem strony Druga Wojna Światowa w Kolorze. Zaproszono mnie tutaj, aby porozmawiać na temat historii Śląska Cieszyńskiego, znanego szerzej w Polsce nieprecyzyjnie jako Zaolzie. I tej historii, która jest dla Polski trudna, która jest uznawana za kontrowersyjną, za będącą powodem do wstydu. Ponieważ gdy mówimy o Zaolziu, to pamiętamy o roku 1938, gdy oddziały polskie Grupy Operacyjnej Śląsk generała Bortnowskiego wkroczyły na teren Zaolzia, znajdującego się wówczas na terenie Czechosłowacji i dokonały, jak to się mówi powszechnie, rozbioru Czechosłowacji razem z Niemcami i Węgrami. Jest to temat podnoszony przez rosyjską propagandę jako przykład tego, że Polska wcześniej z Hitlerem dokonała agresji, dokonała zaboru Czechosłowacji. Więc nie może mieć pretensji o agresję sowiecką 17 września roku 1939. I w polskiej świadomości historycznej my pamiętamy tylko ten rok 1938. Widzimy tylko te obrazki z października roku 1938, transparenty, sztandary Polaków z Zaolzia witających Wojsko Polskie na terenie Cieszyna.

Jednak zapominamy, że historia Zaolzia, historia Śląska Cieszyńskiego nie zaczęła się w październiku roku 1938. Ponieważ, żebyśmy mogli zrozumieć rok 1938, który jest tylko połową tego obrazu, musimy się cofnąć do roku 1919, czyli o dokładnie 19 lat wcześniej. I historia ta zaczyna się w październiku, ale właśnie nie roku 1938, tylko roku 1918. 16 października 1918 roku cesarz Karol, Karol I Habsburg, władca Austro-Węgier, wygłosił manifest „Do moich wiernych austriackich ludów”, w którym zapowiedział utworzenie federacji państw w ramach Austro-Węgier. Oczywiście nie mogło to już pomóc umierającej monarchii habsburskiej, która dwa dni wcześniej, 14 października roku 1918, zgodziła się na warunkową kapitulację, na warunkach zaproponowanych przez Stany Zjednoczone. Natomiast po manifeście Karola I, nastąpił istny wylew deklaracji nie-

podległości, ze strony ludów, ze strony narodów zamieszkujących do tej pory C.K. monarchię. I wśród nich, jako jedni z pierwszych, byli Polacy. Ponieważ już 19 października, z inicjatywy Józefa Kiedronia w Cieszynie, została powołana Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, która miała reprezentować interesy ludności polskiej na terenie Śląska Cieszyńskiego i reprezentować ich interesy oraz przejmować w ich imieniu władzę. 27 października, czyli 8 dni później, Rada Narodowa wygłosiła odezwę, w której zobowiązała się do wierności Polsce. To był pierwszy organ jeszcze nieistniejącej Rzeczypospolitej, który zmanifestował swoją obecność. I było to ważne, ponieważ Śląsk Cieszyński w roku 1918, według spisu narodowościowego zamieszkiwało 230 tysięcy Polaków, którzy stanowili aż 55% ludności na terenie Śląska Cieszyńskiego, podczas gdy Czesi stanowili zaledwie 27% i mieszkało ich tutaj 115 tysięcy. Pozostali identyfikowali się jako Niemcy, Żydzi i Ślązacy. I w nocy z 31 października na 1 listopada 1918 roku, polskie stráže obywatelskie, samorzutnie powstające formacje policyjne, zaczęły rozbrajanie austriackich garnizonów i przejmowanie władzy. Od tego momentu historia Śląska Cieszyńskiego miała być historią polską. Jednak, gdy Austriacy ustąpili, Polacy napotkali na opór, ponieważ miejsce Austriaków zastąpił nowy naród, czyli Czechosłowacja, która 28 października 1918 roku, 9 dni po powstaniu Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego, ogłosiła swoją niepodległość. A 30 października 1918 roku powstała Krajowa Rada Narodowa dla Śląska, czyli „Zemský národní výbor pro Slezsko”. Organ będący analogiczny dla Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. I w porozumieniu między obydwoma tymi organami, między Polską Radą Narodową i Krajową Radą Narodową Czeską, ustalono tymczasową granicę, która przyznawała większość terytorium Śląska Cieszyńskiego stronie polskiej, ponieważ Polacy stanowili tam większość. Oczywiście taki podział był bardzo niekorzystny dla strony czeskiej, ponieważ ilekroć ja sobie myślę o Śląsku Cieszyńskim, to przypomina mi się historia państw burskich w Afryce, Transwalu i Oranii, które zostały podbite przez Imperium Brytyjskie na przełomie XIX i XX wieku. Ponieważ te państewka burskie były bardzo bogate, spały dosłownie na złożach diamentów i złota i mimo, że były bardzo bogate, to nie

mogły przeciwstawić się potężnemu imperium, więc ich bogactwo stało się ich przekleństwem. I w pewnej mikroskali Śląsk Cieszyński powtórzył historię afrykańskich państwewek burskich, ponieważ na terenie Śląska Cieszyńskiego nie było złota, a raczej nie było prawdziwego złota, było natomiast czarne złoto, czyli złoża węgla, którego duże pokłady znajdowały się w Zagłębiu Karwińskim. Była tu również bardzo nowoczesna huta w Trzyńcu, nowoczesna linia kolejowa w Boguminie, która łączyła Czechy z terenami wschodnich Słowacji – z resztą jedyna, prowadząca do Koszyc. Były to bogactwa, których Czechosłowacja nie mogła pozostawić stronie polskiej. Stanowiły więc przekleństwo dla Polaków i nadzieję dla Czechów.

W związku z tym, mimo iż marszałek Józef Piłsudski, przywódca, naczelnik państwa, dążył do tego, aby rozwiązać spór z Czechosłowacją w sposób demokratyczny, poprzez plebiscyty, czy poprzez wybory, poprzez głosowanie, jego apele do przewodcy Czechosłowacji Tomasza Masaryka pozostały bez odpowiedzi. Z resztą stosunek strony czeskiej widać było już w połowie grudnia 1918 roku, gdy wojska czechosłowackie zajęły zbrojnie Spisz i Orawę, leżące bardziej na wschód, będąc zapowiedzią, papierkiem lakmusowym na to, co się może wydarzyć w przyszłości. 17 stycznia 1919 roku zaplanowano wybory do Sejmu Ustawodawczego w Polsce i wybory te również miały się odbyć na polskiej części Śląska Cieszyńskiego. Czesi o tym wiedzieli. Mając ponadto świadomość, że metodami demokratycznymi władzy nie zdobędą i groziło im, że Śląsk Cieszyński w całości przypadnie stronie polskiej, dlatego zareagowali bardzo szybko. Już 17 stycznia 1919 roku Tomasz Masaryk wydał polecenie, aby przygotować się do zajęcia Śląska Cieszyńskiego przez oddziały czeskie. 23 stycznia, czyli na 3 dni przed zaplanowanymi wyborami, oddziały czechosłowackie dowodzone przez Józefa Szejnarka uderzyły na teren Śląska Cieszyńskiego, na polską tymczasową granicę z Czechosłowacją. Czesi wiedzieli, że czas gra na ich niekorzyść, dlatego wykorzystywali fakt, że zostali uznani przez Entente za państwo sprzymierzone. Oraz to, że na terenie Czechosłowacji znalazły się tak zwane Legie Czechosłowackie, czyli formacje zbrojne utworzone we Włoszech i we Francji z byłych jeńców pochodzenia czeskiego i słowackiego tudzież z armii austriackiej, które

zostały uzbrojone, wyszkolone, wyekwipowane i bardzo szybko przerzucone na teren Czechosłowacji, aby antyniemiecko nastawiona Czechosłowacja mogła reprezentować indywidualnie interesy Ententy w regionie. Zresztą Ententa, alianci pozwolili Masarykowi na odtworzenie Czechosłowacji w granicach historycznych. Oczywiście planowano to w odniesieniu wyłącznie do kraju sudeckiego zamieszkałego przez Niemców, ale w Pradze interpretowano to tak jak chciano i w efekcie Józef Sznejdarek dowodzący na terenie Śląska Cieszyńskiego miał aż 20 batalionów piechoty, 5 batalionów artylerii, 2 szwadrony jazdy, i pociąg pancerny. W sumie 20 tysięcy dobrze wyekwipowanych i uzbrojonych żołnierzy. On sam zresztą był wieloletnim żołnierzem francuskiej Legii Cudzoziemskiej, dowodził w Algierii. Jego wielu żołnierzy również wywodziło się z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, skąd poza wyszkoleniem wynieśli nie tylko doświadczenie bojowe, ale także brutalność. Tymczasem Polacy dysponowali na terenie Śląska Cieszyńskiego zaledwie dwoma batalionami piechoty, plutonem artylerii i plutonem jazdy, dowodzonymi przez pułkownika Franciszka Latinika. Wynikało to z tego, że Polska w tym okresie toczyła wiele walk o swoje granice ze wszystkimi sąsiadami, ponieważ trwały walki w Wielkopolsce z Niemcami podczas Powstania Wielkopolskiego, walki z Ukraińcami w Galicji i walki z bolszewikami na Wileńszczyźnie. W związku z tym nie było znikąd pomocy. Polacy zebrali w sumie 2-3 tys. żołnierzy, wsparło ich około 3 tys. żołnierzy, około 1000 cywilnych ochotników, głównie górników z Zagłębia Karwińskiego i hutników z Trzyńca. I skończyło się to tak, jak musiało się skończyć, ponieważ Czesi dosłownie kilka dni, od 23 stycznia do 28 stycznia zajęli prawie cały Śląsk Cieszyński i dopiero pod sam koniec 28 stycznia pułkownik Latinik wydał Czechom walną bitwę pod Skoczowem, która potrwiała 2 dni i zwróciła wreszcie uwagę Ententy na to, co się dzieje w tym regionie. Weszło w życie zawieszenie broni 31 stycznia 1919 roku i wydawałoby się, że ta wojna była bardzo krótka, nie wpłynie więc w żaden sposób na przyszłość polsko-czeską. Jednakże ta wojna nacechowała się nie tylko swoją błyskawicznością, ale też dużą ilością ofiar, ponieważ zginęło w ciągu zaledwie 8 dni 200 osób, z czego 150 to byli Polacy. Była również nacechowa-

na zbrodniami wojennymi, które popełniali czescy legioniści na terenie Śląska. Najślynniejszą zbrodnią było zamordowanie kilkunastu żołnierzy z 12 Wadowickiego Pułku Piechoty w Stonawie 26 stycznia. Zresztą takich sytuacji było znacznie więcej. Dochodziło również do pobić, grabieży, ataków na polskie miejscowości. Zdarzało się nawet, że czescy legioniści napadali na górników i hutników wracających z pracy i zabierali im ubrania, żywność i pieniądze. Doszło do tego, że Czesi założyli niewielki obóz koncentracyjny dla schwytanych Polaków w Orłowie. Wśród poturbowanych był m.in. sam założyciel Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego Józef Kiedroń wraz z żoną Zofią. Czesi byli niezwykle agresywnie nastawieni do wszelkich przejawów polskości, więc zrywali wszelkie polskie flagi i symbole narodowe.

Sytuacja ta trwałaby dłużej, gdyby nie to, że w Paryżu 3 lutego 1919 r. minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Edward Benes i Roman Dmowski pod naciskiem Ententy zawarli porozumienie, które miało doprowadzić do tego, że w przyszłości o losie Śląska Cieszyńskiego zadecyduje plebiscyt. Przez całe następne półtora roku, aż do lipca 1920 r., było to jedno wielkie pasmo czeskiej nienawiści do polskiej mniejszości na Zaolziu. Właściwie polskiej społeczności Zaolzia, ponieważ zgodnie z ustaleniami z Paryża miały na terenie Śląska Cieszyńskiego działać komitety, miały działać aktywiści, mieli oni aktywizować społeczeństwo, żeby opowiedzieli się za Polską. Natomiast władze czeskie w trakcie prowadzenia działalności politycznej zastraszają polskich aktywistów. Dochodziło do rozpędzania i rozbijania wieców, dochodziło do zastraszania polskich aktywistów. Każdego, przy kim znaleziono polskie ulotki lub gazety, aresztowała czeska żandarmeria. Normą stały się również tzw. rugi, czyli wypędzenia Polaków. Na celowniku Czechów znaleźli się przede wszystkim polscy nauczyciele, księża, urzędnicy, żołnierze, policjanci, których natychmiast wypędzono na polską stronę granicy. Która została ustalona mniej więcej wzdłuż rzeki Olzy, podobnie do współczesnej granicy. I dochodziło również do tego, że Czesi uniemożliwiali działalność aktywistom, uniemożliwiali działalność polskim komitetom, wykorzystując przy tym również wsparcie ze strony Ententy. Trzeba tutaj wspomnieć, że Ententa

miała w tym interes, ponieważ np. Francuzi nabyli 60% udziałów w hucie w Trzyńcu, więc w ich interesie było to, żeby Trzyniec pozostał w granicy czechosłowackiej. A Polska nie była w stanie zagwarantować Francuzom takich samych warunków jak Czesi. Czesi wykorzystywali również fakt, że mieli mocniejszą pozycję wśród Ententy ze względu na powstałe legie czechosłowackie, które już wówczas toczyły walkę również z Węgierską Republiką Radziecką. Państwo czechosłowackie kreowało się na obrońcę interesów Paryża i Londynu w Europie Środkowo-Wschodniej, a tymczasem Polskę cały czas zdarzono dużą nieufnością ze względu na to, że Polacy w czasie I wojny światowej walczyli nierzadko po stronie państw centralnych, po stronie pokonanych Niemiec i Austrii.

Sytuacja ta trwałaby bardzo długo, gdyby nie to, co się wydarzyło, na wschodzie Polski, ponieważ w roku 1920 uwagę Polaków zaprzętał już nie Śląsk Cieszyński, tylko nadciągająca ze wschodu Armia Czerwona. Wspomnę jeszcze o tym, że Czesi w trakcie trwania działalności komitetów plebiscytowych – tak zwani nieznani sprawcy – obrzucali granatami siedziby polskich komitetów, siedziby polskich redakcji, polskie plebanie, polskie kościoły. Pierwszy taki przypadek miał zresztą miejsce w Błędowicach w lutym 1920 roku. I w samym maju roku 1920 ze Śląska Cieszyńskiego wypędzono 3000 osób. Wobec tego polscy hutnicy i górnicy ogłosili strajk generalny. Aliancka komisja plebiscytowa uznała, że w takiej sytuacji plebiscyt jest niemożliwy do przeprowadzenia. No ale tak jak wspomniałem w lipcu roku 1920, uwagę Warszawy zaprzętała bardziej Armia Czerwona, niż to co się działo na Śląsku Cieszyńskim. W związku z tym Polska potrzebowała wyjątkowo dużej ilości amunicji dostarczanej z zachodu, zwłaszcza przez Francję. Natomiast tranzyt wiódł przez teren Czechosłowacji. I Czechosłowacja blokowała transporty wojskowe od września 1919 roku, zasłaniając się swoją neutralnością. Natomiast nie dało się ukryć, że koła rządzące czeskie, czyli sam Tomasz Masaryk, jak i jego wierny totumfaci Edward Benes, nie ukrywali swojej wrogości do Polski i sugerowali wprost, że lepiej byłoby dla Polski gdyby uległa ona bolszewikom, gdyby się ona im, po prostu, poddała. Natomiast minister Stanisław Grabski na konferencji w SPA 10 lipca 1920 roku został postawiony przed faktem,

że, jeśli zgodzi się na oddanie kwestii granicy na Śląsku i Cieszyńskim przez mocarstwa zachodnie, przez Ententę, to wówczas Czesi zaprzestaną blokowania transportów amunicji do Polski. Minister był postawiony pod ścianą ze względu na to, że przez cały maj i czerwiec 1920 Czesi nie przepuścili praktycznie ani jednego lotu, a amunicji akurat Polsce było potrzeba w tych dniach bardzo. I w związku z tym 28 lipca 1920 roku na konferencji w SPA premier Grabski podpisał z Edwardem Beneszem deklarację, która zgadzała się na rozstrzygnięcie sporu przez Ententę, bo warunkiem zgody właśnie było przepuszczenie tych transportów amunicji do Polski. W odróżnieniu od Grabskiego Benesz wiedział, że rozstrzygnięcie będzie po myśli Czechosłowacji i 28 lipca Śląsk Cieszyński został podzielony wzdłuż rzeki Olzy z 2200 km² Polska otrzymała 1002 km² i 142 km². Efekt był taki, że poza granicami Polski znalazło się 140 000 Polaków i przyjęcie tych warunków uznano w Polsce za skandaliczne. Polski Sejm nigdy nie ratyfikował postanowień konferencji w SPA i uważał, że te postanowienia nigdy nie były do niego wiążące.

Polaków mieszkających na Zaolziu, jak nazwano tereny Śląska Cieszyńskiego, które trafiły do Czechosłowacji, czekało bardzo trudnych 18 lat, ponieważ władze czechosłowackie prowadziły politykę szowinistyczną, politykę wyjątkowo antypolską, politykę dążącą do wynarodowienia Polaków na Zaolziu, do tego, aby oni wyrzekli się polskości. Pierwszym krokiem władz czechosłowackich, było ściąganie na te tereny tysiące czeskich urzędników, czeskich policjantów, czeskich nauczycieli po to, żeby dysproporcje etniczne na terenie Zaolzia między Polakami a Czechami zmniejszyć. Władze czeskie wymyśliły też pseudonaukowe brednie o spolszczonych Morawcach, którzy na przestrzeni wieków ulegli właśnie polonizacji, i że trzeba ich teraz odzyskać dla macierzy. 18 tysięcy Polaków mieszkających na terenach włączonych do Czechosłowacji w ogóle nie posiadało czeskiego obywatelstwa. I wobec pozostałych stosowano przemysłową czechizację, czyli nakłanianio Polaków do zmiany imion na czeskie, do czechizacji nazwisk, do posyłania dzieci do czeskich szkół. Zresztą władze czeskie dążyły do tego, żeby zamykać szkoły polskie na terenie Zaolzia. Polskie szkoły nie były finansowane z budżetu państwa, tylko były finansowane przez gminy

albo były prywatne. I mimo dużego oporu ze strony Polaków, którzy nie godzili się na to, to liczba polskich uczniów, uczniów uczących się w polskich szkołach spadła, bo o ile w 1916 uczyło się ich 23 tysiące, o tyle w 1932 roku już było tylko 12 tysięcy. Aby wymusić posłuszeństwo na Polakach, władze czeskie stosowały szantaż. Powszechnym zjawiskiem było zwalnianie z pracy ojców, głów, rodzin i nierzadko jedynych żywicieli całej rodziny z pracy w hutach czy w kopalniach i dawanie im wilczego biletu, żeby nie mogli nigdzie indziej znaleźć zatrudnienia. Niepokornych nakłaniano do wyjazdu z Zaolzia. Zdarzało się też przesiedlanie przymusowe polskich kolejarzy, polskich hutników, czy polskich górników w dalekie, odległe, zachodnie rejony Czechosłowacji. Zastępowano ich Czechami. Trzeba też pamiętać o tym, że władze czeskie zwalczały bardzo mocno polskie wydawnictwa i polską prasę. Wystarczy wspomnieć, że w samym roku 1935-1936 dwukrotnie zawieszano gazetę „Dziennik Polski”, a stukrotnie konfiskowano cały jej nakład. W związku z tym Polacy byli pozbawieni wiadomości z kraju, polskiej prasy, na szczęście tutaj w sukurs przyszło radio, czyli najnowszy wynalazek i Polacy na Zaolziu mogli słuchać polskiego radia.

Trzeba też pamiętać o tym, że władze czeskie już może nie stosowały takiego terroru jak w roku 1919-1920. Nie dochodziło już może do częstych pobić. Natomiast ten sentyment wyraźnie antypolski był bardzo widoczny. Minęło kilkanaście lat od tych wydarzeń, czego symbolem jest cieszyński pomnik poległych legionistów, odsłonięty w piętnastolecie czeskiej agresji w roku 1934. Postać z pomnika celuje mieczem w kierunku Olzy, czyli dosłownie w kierunku Czeskiego Cieszyna. Odczytywano to już wówczas jako gest, dający do zrozumienia, że Polska pamięta o Polakach zostawionych po drugiej stronie granicy. Zresztą sam ówczesny burmistrz Cieszyna o tym mówił. Polski wywiad oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego przygotowywał się do nawet wzniesienia powstania antyczeskiego na terenie Zaolzia w roku 1935 i 1936. I zwracał uwagę, że już drugie pokolenie Polaków, już urodzone i wychowane na czeskim Zaolziu jest bardzo aktywne. Szczególnie wywodzące się z rodzin robotniczych. Jest bardzo patriotycznie nastawione i wśród nich rekrutowano chętnych do przeprowadzenia ewentualnej wolty na terenie Czechosłowacji.

Reasumując, cała ta sytuacja pokazuje nam to, że wydarzenia z 1938 roku miały swoje głębokie przyczyny. I gdy 15 września 1938 roku brytyjski premier Neville Chamberlain przyzwolił Adolfowi Hitlerowi na zajęcie terenów Sudetów zamieszkałych przez Niemców, władze w Polsce dostrzegły w tym szansę uregulowania przynajmniej stosunków władz czeskich do polskiej mniejszości na Zaolziu. I 21 września wyzowano władze czechosłowackie do tego aby wreszcie uregulować. Żeby nadać Polakom status mniejszości narodowej. Natomiast po Konferencji Monachijskiej, podczas której mocarstwa, czyli Wielka Brytania, Francja, Włochy i Niemcy 29-30 września roku 1938 wyraziły zgodę na zajęcie Sudetlandu, czyli kraju Sudetów przez Niemców uznano w Polsce, że pojawiła się szansa, którą należy wykorzystać. Nazajutrz, 1 października 1938 roku, władze polskie wystawiły Czechosłowacji ultimatum, żądające zwrotu zagrabionych w 1919 roku ziem. Zresztą przypominam. I wobec braku odpowiedzi na ultimatum, 2 października na teren Zaolzia wkroczyły oddziały polskie z Grupy Operacyjnej Śląsk Generała Władysława Bortnowskiego. Z resztą owacyjnie bardzo witane przez ludność polską na terenie Zaolzia. Ponieważ Polacy na Zaolziu wierzyli, że któregoś dnia Polska do nich wróci. Że nie zostawi ich w potrzebie. Być może dlatego ta polska społeczność nie dała się zczechizować – mimo bardzo brutalnej czeskiej polityki. Mimo agresji w 1919 roku. Mimo zbrodni wojennych, których się Czesi dopuszczali w trakcie agresji. Mimo wypędzeń. Mimo rugów. Mimo pobić. Mimo czeskiej propagandy antypolskiej. Mimo ograniczania polskiej kultury i polskiego szkolnictwa. Polska ludność nie uległa i nie zniknęła.

Warto mieć ponadto w pamięcie, że gdyby Polska nie zajęła Zaolzia w październiku 1938 roku, to wówczas tereny te przypadłyby Niemcom. Niemcom przypadłby również Bogumin, czyli jedyny węzeł kolejowy łączący zachodnie Czechy razem ze wschodnią Słowacją. Jedyna linia kolejowa biegnąca do Koszyc. I w kontekście roku 1939, czyli późniejszej agresji Niemiec na Polskę pewnym jest, że Niemcy mogliby wówczas atakować z całej szerokości terenu. Czy na dłuższą metę zajęcie Zaolzia coś Polsce dało? Tak jak wspomniałem: pozwoliło dłużej i efektywniej się bronić w roku 1939. Czy była to karta zadrażniająca stosunki polsko-czeskie? Nie.

Był to skutek polityki Czechosłowacji wobec Polski i Polaków na Zaolziu. Warto więc pamiętać, że nie byłoby roku 1938 gdyby nie rok 1919. Warto pamiętać o obydwu stronach tej historii. Nie tylko o połowie. Bo inaczej utkniemy w fałszywym obrazie historii.

Jak odczarować nazwę Zaolzie i czy jest to jeszcze możliwe?

Myszę, że pojęcie Zaolzie ma sens z perspektywy polskiej, bo opisuje pewną rzeczywistość historyczną przez pryzmat mniejszości polskiej. Obecności Polaków na terenie dzisiejszej Republiki Czeskiej, wcześniej Czechosłowacji. Problem polega na tym, że nie ma czeskiego ekwiwalentu Zaolzia – a z ich perspektywy musiałoby to być Przedolzie. Dlatego z perspektywy autoidentyfikacji mniejszości to pojęcie ma sens. Trudno będzie jednak budować tożsamość regionu, jego markę i rozpoznawalność.

Maciej Ruczaj

Kiedy zająłem się historią polsko-czechosłowackiego pogranicza, odebrałem sporo komentarzy. Dziękowali, że naświetliłem odbiorcom problem i zjawisko, o którym nie mieli pojęcia. Z Pomorza, z którego pochodzę, Zaolzie stanowi kompletną egzotykę.

Andrzej Matowski

W wymiarze ogólnopolskim termin Zaolzie znaczy bardzo niewiele. Jest jakieś echo skojarzeń społecznych, ale dla większości obszar ten stanowi jakiś koniec świata, o którym nikt nic za bardzo nie wie. A jeżeli już, to skojarzenia są bardzo ogólne, nierzadko negatywne i niesprawiedliwe.

Maciej Ruczaj

Historia tego regionu kojarzona jest jedynie z rokiem 1938, w formie skojarzeń narzuconych wprost z rosyjskiej propagandy, która przypisuje Polsce rolę hieny Europy. Mało kto w Polsce ma świadomość tego, co działo się tutaj przed 1938 rokiem. Być może brakuje takiej umiejętności edukacyjnej, dotarcia do odbiorców w Polsce.

Andrzej Matowski

Mówimy tu tak naprawdę o wyrwaniu Zaolziaka z tych bardzo prostych, czy wręcz prostackich skojarzeń. Tylko – kto miałby to robić? Bo Polska ma oczywiście swoje obowiązki wobec rodaków, ale budowanie pozytywnej narracji powinny być jednak robione z dużym udziałem samych Zaolziaków. To musi wynikać z potrzeb, chęci, wysiłku osób, których to dotyczy. Bo wtedy ta historia staje się wiarygodna.

Remigiusz Okraska

Fakty i mity dotyczące postrzegania historii Zaolzia z perspektywy współczesnych Polaków i Czechów

Termin Zaolzie uzyskuje różne znaczenia asocjacyjne, skojarzeniowe w różnych miejscach i środowiskach społecznych. Na Śląsku Cieszyńskim jest terminem neutralnym, odnoszącym się do obiektywnego zjawiska geograficznego. Gdzieś w głębi Polski ma specyficzne konotacje, odnoszące się raczej do przeszłości.

Jan Kajfosz

Z tym Zaolziem, zwłaszcza z perspektywy „warszawskiej”, kojarzy się jedynie rok 1938. W perspektywie cieszyńskiej jest to również rok 1920, bo wtedy na Olzie pojawiła się granica. Ale mamy jeszcze przecież 1918 i 1919 i wiedząc o tych czterech datach poznajemy pewną sekwencję wydarzeń i wiemy wszystko.

Michael Morys-Twarowski

Współczesne młode pokolenia patrzą na Polskę jak na najbliższe państwo – ale trochę już obce, bo bywa tak, że Polskość gubi się trochę przez zaolziańskość. Kultura ludowa, zaolziańska bywa traktowana jako szczyt kultury polskiej. Warto takie myślenie, przy poszanowaniu tradycji regionu zmienić. Otworzyć Zaolzie na świat, pokazać też Polskę jako państwo duże, piękne, z wielkimi tradycjami. I przełamać pewną negatywną konotację, która wokół nas Zaolzian ciągle się kręci, żeby budować projekcje przyszłości otwartą i niepłatzącą.

Józef Szymeczek

Moja propozycja polega na tym, żeby przemyśleć zmianę tego pojęcia na inne – na przykład „czeską część Śląska Cieszyńskiego”, które – przede wszystkim – przywracałoby do pamięci społecznej fakt, że obydwie strony Śląska Cieszyńskiego dzielą wspólną kulturę, w tym kulturę ludową.

Jan Kajfosz

Moi znajomi z Zaolzia, którzy studiowali w Krakowie w tym czasie, co ja, często byli pytani przez polskich kolegów, kim bardziej się czują – Polakami, czy Czechami. Co – na marginesie – jest wyjątkowo wrednym pytaniem. Czasem machali ręką i stwierdzali dla świętego spokoju, że Ślązakami. A przecież sam fakt, że skończyli polskie szkoły i zdecydowali się kontynuować edukację wyższą już w Polsce świadczy, że w pewnym stopniu tymi Polakami się czują.

Michael Morys-Twarowski

Kongres



Polaków w RC
Poláků v ČR